MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 8. (7 skonfiskowany). WARSZAWA, 5 LUTEGO 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

KAPITALIZM BEZ KAPITAŁU

PAN minister przemysłu i handlu, gen. Zarzycki, w swem przemówieniu na komisji budżetowej Sejmu ocenił bardzo surowo rolę rozmaitych tuzów sanacyjnych, zasiadających w radach zarządzających wielkich przedsiębiorstw przemysłowych na Górnym Śląsku. Stwierdził, że przemysł górnośląski, będący w rękach kapitału nam wrogiego, mimo obecności w zarządach Polaków, mających za sobą poparcie rządowe, nie działa zgodnie z naszym interesem narodowym i wyraził się bardzo niepochlebnie o charakterach tych polskich przedstawicieli w niemieckiej reducie.

Pan minister miał pewno dostateczne powody do tak surowej oceny działalności owych 22 panów, których nazwiska ma wypisane w notesie, ale sprawa oczywiście wykracza poza kwestję osobistą tego lub owego dygnitarza sanacyjnego, ważniejsze jest jej znaczenie zasadnicze, polegające na tem, iż kapitał niemiecki na Górnym Śląsku, zasilany w razie potrzeby przez rząd Rzeszy (koncern Flicka otrzymuje od rządu niemieckiego za akcje przedsiębiorstwa westfalskiego kilkadziesiąt miljonów marek ponad ich wartość giełdową, byleby mógł się utrzymać na Śląsku), zwycięża połączone polskie wpływy prywatne i rządowe i prowadzi politykę niemiecką. Taki rezultat ma do zapamiętania spoeczeństwo polskie, powoływane, drogą reglamentacji cen do wielkich ofiar na rzecz utrzymywania tego przemysłu przy życiu. Ofiary te są istotnie nie małe: dość przytoczyć parę, odnoszących się do obrotu węglem. W r. 1931 wywieźliśmy zagranicę prawie 14 miljonów ton, ogólnej wartości około 340 miljonów złotych, czyli przemysł węglowy wyrzucał na rynek zagraniczny węgiel po przeciętnej cenie 25 zł. ze tonę; znamy ceny wewnętrzne i nie pomylimy się, twierdząc, że za ten eksport społeczeństwo polskie przepłaciło za węgiel zużyty wewnątrz kraju (około 20 miljonów ton w tym samym czasie) paręset miljonów złotych. Naturalnie mówi się, że gdyby nie ta dopłata, mielibyśmy bezrobocie zwiększone o kilkadziesiąt tysięcy górników, ale czy to jest rzeczywiście jedyny sposób zaradzenia złemu? Przecież gdybyśmy z tych bezrobotnych zrobili nawet dość zamożnych rentjerów państwowych, a resztę kopalni zatrudnili w całkowity sposób na rynek wewnętrzny, to jeszcze zarobilibyśmy na tej tranzakcji niezłą sumkę, nie mówiąc już o wpływie tańszego węgla na koszty utrzymania i podukcji.

A możeby i twierdza niemiecka na Śląsku osłabła wówczas nieco?

Dumpingu węglowego, uprawianego przez nas od wielu lat, nie uzasadniono jeszcze dotąd cyframi, przyjmujemy i godzimy się z nim na wiarę. Jest to droga najmniejszego wysiłku (oczywiście nie pieniężnego, ten dla przeciętnego obywatela jest bardzo znaczny), droga naśladownictwa postępowania wielkich państw kapitalistycznych, tylko że my uprawiamy kapitalizm w postaci groteskowej, mianowicie bez kapitału i stąd mamy tak piękne rezultaty, o jakich mówił na komisji pan minister przemysłu i handlu.

Na takim kapitaliźmie bez kapitału ten i ów sprytny człowiek może nawet nieraz zrobić dobry interes, upiec jakąś tłustą pieczeń, ale ogół wychodzi opłakanie. W ostatnich czasach mieliśmy kilka

bardzo jaskrawych przykładów przechodzenia wielkich przedsiębiorstw w obce ręce; w wielu razach przejście to odbywa się za bezcen, za grosze i ka-, pitał obcy ma wskutek tego możność robienia lukratywnych interesów, a trzeba pamietać o tem że jeżeli dziś mówimy „kapitał obcy“, to trzeba rozumieć pod tem nie dawny typ przedsiębiorcy, osiedlającego się w kraju i najczęściej asymilującego się, lecz kapitał, będący tylko cząstką jakiejś wielkiej organizacji, mającej siedzibę daleko, często za morzami, kapitał drapieżny, działający jak potężna pompa, wysysająca z ubogiego kraju duże zyski i przekazująca je zagranicę. My wciąż jednak jesteśmy zapatrzeni we wzory zachodnie, uganiamy się ciągle za mirażem wielkiego przemysłu eksportowego, a nie zwracamy żadnej uwagi na tę formę produkcji, na jaką nas jedynie stać, do której mamy odpowiednie środki i która się najlepiej u nas opłaca, mianowicie na produkcję drobną. Wszystko, oczywiście, w nadziei na to, że niebawem osiągniemy t. zw. dno kryzysu, poczem zacznie się radosny pochód wgórę sprzyjającej konjunktury.

Powiedzenie, że zapatrujemy się bezkrytycznie na wzory zachodnie, nie jest już nawet teraz ścisłe, można raczej powiedzieć, że trzymamy się dawnych, przebrzmiałych wzorów, na Zachodzie bowiem często już zdają sobie sprawę z tego, że czasy z przed lat kilkudziesięciu minęły bezpowrotnie i szukają nowych dróg.

Instytucje dla wielkokapitalistycznej gospodarki miarodajne, wielkie banki utrzymują swe biura statystyczne i ekonomiczne, badające pilnie konjunkturę i kierunki, w jakich gospodarka światowa się rozwija. W biuletynie jednego z takich biur, należącego do potężnej organizacji bankowej Niemiec „*Deutsche Bank und Discontogesellschaft*“ czytamy:

„Oddawna wiemy już, że kryzys nie jest objawem przemijającym, lecz jest skutkiem głębokich zmian w ekonomicznej strukturze świata. To też nie należy próbować powrotu do ekonomji przedwojennej, lecz trzeba szukać nowej równowagi, zgodnej ze zmienionemi warunkami na wewnątrz i na zewnątrz. Niemcy potrzebują wzmocnienia swej podstawy produkcji rolnej, i dostosowania swej zdolności przemysłowej do nowych warunków rynku“.

Państwa o olbrzymio rozwiniętym przemyśle myślą więc o zasadniczej przebudowie swej gospodarki, tak dalece zwątpiły o odzyskaniu, czy też utrzymaniu dawnych rynków zbytu. W tych warunkach myśleć o zdobyciu przez nasz słaby przemysł dobrych rynków zbytu, o tem, że nas na takie rynki dopuszczą, wydaje się utopją. Chyba, że będą to rynki takie, jak te, na których sprzedajemy obecnie (z coraz większym trudem zresztą) nasz węgiel i cukier—z dopłatą wielu setek miljonów przez społeczeństwo.

Przed niedawnym czasem z bardzo kompetentnych, wysokich sfer t. zw. Lewiatana zabrzmiał głos trwogi, rodzaj sygnału, mającego zaalarmować społeczeństwo: „drobny warsztat, chałupnik nas zjada, cofamy się do prymitywu“... Nie trzeba się tem alarmować, a właśnie skorzystać z tej wskazówki i zabrać się zbiorowym wysiłkiem do poparcia i rozwinięcia tej formy produkcji, jaka okazała się na kryzys odporna i rokuje dobre nadzieje. Trzeba przestać bawić się w kapitalistów, którym do tej roli brakuje drobnostki—kapitału, wówczas nie będziemy mieli również takich zawodów, jakim dał wyraz gen. Zarzycki.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

JESZCZE O ROKOWANIACH RYSKICH

Z PRZYKROŚCIĄ po raz drugi w ciągu niecałych trzech miesięcy zabieram głos w sprawie rokowań ryskich i naszej granicy wschodniej. Jest mi to tembardziej niemiłe, że nie uważam za pożyteczne odciąganie ku wschodowi uwagi naszego społeczeństwa w tej chwili, gdy powinna być ona w całości skierowana ku naszej granicy zachodniej i niemieckim przeciwko niej działaniom.

Zmusza mię jednak do tej nie na czasie dyskusji obowiązek lojalności wobec mych kolegów z byłej delegacji dla rokowań pokojowych z państwem sowieckiem. Milczenie bowiem moje mogłoby być wytłumaczone kiedyś, jako ciche przytaknięcie twierdzeniom p. Giertycha, krzywdzącym delegację ryską i nieżyjącego jej prezesa.

Na początku niemal swego artykułu: „Dyskusja o traktacie ryskim“, opublikowanego w numerze „Myśli Narodowej“ z 8 stycznia b. r. p. Giertych robi zarzut książce ś. p. Dąbskiego: „Pokój Ryski“ iż „jest to źródło, czyniące wrażenie niezupełnie bezstronnego“—a to ponieważ pomija milczeniem moją w pertraktacjach terytorjalnych rolę. Nie jest to sąd sprawiedliwy. Bo tak samo pomijają milczeniem moją pracę w stronnictwie demokratyczno-narodowem przed wojną i w czasie wojny p. Zygmunt Wasilewski w swych wspomnieniach z czasów lwowskich[1]) i p. Roman Dmowski w swej książce o odbudowaniu Polski; choć prasa — i to przedewszystkiem przeciwnych obozów — zajmowała się ówczesną moją działalnością nie mniej, niż później w czasie rokowań ryskich, a przecież ani mnie, ani nikomu innemu nie przyszłoby do głowy podnosić z tego powodu jakiejkolwiek wątpliwości co do bezstronności tych źródeł.

---

[1]) Jeśli tu mowa o wspomnieniach „Czasy lwowskie“, ogłoszonych w „Kurjerze Lwowskim“ w styczniu r. ub., to dla obrony swej autor tutaj zaznacza, że wspomnienia te urwał na latach około r. 1904, kiedy prof. St. Grabski nie grał jeszcze roli — potem tak wybitnej — w życiu politycznem Lwowa. Kierownikiem politycznym „Słowa Polskiego“ był jeszcze wtedy Popławski. Do wspomnień tych dołączony był jedyny ustęp dłuższy, wybiegający poza tę datę, a dotyczący prezesa Głąbińskiego, ustęp drukowany przedtem w „Myśli Narodowej“ z powodu jego jubileuszu. — Red.

Ś. p. Jan Dąbski, jak o tem świadczy tytuł jego książki, pisał nie dokładną historję pokoju ryskiego, lecz swe o nim wspomnienia. Jest to więc zupełnie naturalne, że wspomina przedewszystkiem o tem, co sam robił, a pobieżnie pisze o pracy innych członków delegacji. Ale wszystkie podane w jego książce fakty są prawdziwe i niczego w niej rozmyślnie nie zataja.

O wiele jeszcze bardziej muszę się zastrzec przeciwko następującym słowom p. Giertycha: „położenie prof. Grabskiego w Rydze było wręcz tragicznie trudne: musiał walczyć na dwa fronty — nietylko z przeciwnikiem rosyjskim, lecz i z Obozem Małej Polski (federalistów, chcących Polskę rozparcelować na rzecz różnych Litw, Łotw, Ukrain i Białych Rusi) w łonie samej delegacji polskiej".

Nie jest ścisłem ani sprawiedliwem nazywanie zwolenników programu federacyjnego obozem małej Polski. Obóz ten nieustannie mnie oskarża o pomniejszenie Polski. Przeinaczanie jednak przez tych panów prawdy nie zwalnia mię od obowiązku ścisłego przestrzegania prawdy, gdy i o nich jest mowa. A naprawdę głównym motywem dążeń federacyjnych grupującego się wówczas koło Naczelnika Państwa obozu było przeświadczenie, iż program federacji z Litwą, Białorusią i Ukrainą zapewni Rzplitej możliwie najszersze granice, conajmniej granice z 1772 r., a może i z przed wojen kozackich. Był to więc obóz, pragnący Polski bardzo rozległej; projektował on granice Rzplitej o wiele dalej sięgające na wschód, niż to czynił Komitet Narodowy; ale dla tej rozległości Rzplitej poświęcał wewnętrzną spoistość i polski naprawdę charakter państwa polskiego. Obóz narodowy program ten zwalczał, bo zdawał sobie sprawę nietylko z tego, — że żyjemy w okresie wzmagających się w całym świecie nacjonalizmów, że więc związane tylko federacyjnemi węzłami z Polską ziemie wcześniej czy później od niej by się oderwały, a wtedy pozostałaby Polska nazbyt mała, — ale i z zupełnej fantastyczności koncepcji federacyjnej. Ogół bowiem ludu ruskiego i białoruskiego, który przywłaszczył sobie ziemie folwarków w znacznej części polskich, był równie wrogo usposobiony przeciwko Polsce, jak i przeciwko białym armjom rosyjskim. Ten wrogi stosunek mas chłopskich stał się główną przyczyną klęski Denikina. I tak samo zgóry na klęskę skazana była wszelka próba tworzenia siłą polskiego oręża choćby najbardziej autonomicznej, ale z Polską w jakikolwiek sposób związanej Ukrainy i Białorusi.

Rozumiejąc to, przestrzegałem stanowczo przed wyprawą na Kijów. A gdy większość Sejmu wyprawę tę zaaprobowała[2]), złożyłem na znak protestu prezesurę Komisji spraw zagranicznych. Losy wszakże wyprawy kijowskiej stwierdziły słuszność mych przestróg. Obojętność, z jaką lud Ukrainy przyjmował wezwania Petlury, a pomoc, jaką dawał w czasie naszego odwrotu Budiennemu — przekonały i ludowców i socjalistów, że pomysł tworzenia sfederowanej z Polską Ukrainy jest nieziszczalny i że jedynie realną polską polityką terytorjalną na wschodzie jest jaknajkorzystniejszy podział między Polską a Rosją spornych od wieków ziem ruskich i białoruskich.

To też instrukcja, udzielona przez Radę Obrony Państwa delegacji wyjeżdżającej do Mińska dla rokowań pokojowych, nie zawierała żadnych wskazań w duchu programu federacyjnego, a wykreślone na załączonej do niej mapie linje maksymalnych i minimalnych naszych żądań terytorjalnych przecinały Wołyń, Polesie i Białoruś. Kończyły się one jednak na północy u granicy, odstąpionej wówczas przez armję bolszewicką Litwie, ziemi wileńskiej. Zrezygnowawszy więc już z federacyjnej Ukrainy i Białorusi, większość Rady Obrony Państwa miała jeszcze wówczas nadzieję na sfederowanie z Polską Litwy. Dlatego też następnie, podczas naszej zwycięskiej kontrofensywy, ziemię wileńską zajęła nie regularna armja polska, lecz zbuntowana dywizja gen. Żeligowskiego.

Instrukcję tę ułożyła Rada Obrony Państwa po parokrotnych naradach z delegacją i członkami rządu. I muszę to podkreślić: z łona samej delegacji wychodziło domaganie się, by instrukcja przedewszystkiem nakazała nam żądać granicy znacznie na wschód od Bugu przesuniętej. Obawialiśmy się bowiem, iż bez tego nad rokowaniami naszemi w sprawie granicy ciążyć będzie nadmiernie fakt, że kilka tygodni przedtem Polska zwracała się o rozejm na linji Bugu. Pamiętam też, że najsilniej podtrzymywał to nasze żądanie ś. p. gen. Rozwadowski. Sytuacja zaś nie usposabiała wówczas do optymizmu. Wielu ludzi wyjeżdżało już było z Warszawy. Więc ludzie, którzy wysyłani w przeddzień bitwy rozstrzygającej do nieprzyjacielskiego kraju, aby rokować o pokój, gdy wojska bolszewickie podeszły pod samą Warszawę, po odrzuceniu proponowanego im z naszej strony przy poparciu Anglji rozejmu na linji Bugu, domagali się dla siebie instrukcji, nakazującej im żądać granicy, biegnącej o paręset kilometrów na wschód od tej odrzuconej linji rozejmu — nie zasługują na to, by wśród nich doszukiwać się Obozu Małej Polski.

Wśród całej delegacji było trzech tylko przedstawicieli obozu narodowego: poseł Mieczkowski ze Zjednoczenia, poseł Wichliński z Chrześcijańskiej Demokracji i ja ze Związku Ludowo-Narodowego. Ale nie było w delegacji żadnych walk, żadnych polemik ani uprzedzeń partyjnych. Bo nie był dla nas frazesem program zespolenia się całego narodu w obliczu najazdu. W niejednem różniły się nasze poglądy. Aleśmy starali się zawsze wzajemnie zrozumieć. Współpacowaliśmy według najlepszej woli dla jednego celu równie wszystkim drogiego. I do końca życia zachowam wdzięczność dla wszystkich kolegów z delegacji za ten objektywizm, z jakim, mogąc mnie każdej chwili przegłosować, rozważali moje argumenty i nieraz przyznawali im słuszność. A trudności, wynikające z braku należytej komunikacji z Warszawą, tak iż przez parę pierwszych dni po przyjeździe do Mińska nie wiedzieliśmy nic o losach bitwy pod Warszawą, z faktycznego internowania nas przez bolszewików, obstawienia śledzącymi każdy nasz krok i każdą rozmowę agentami czrezwyczajki — współpracę naszą jeszcze bardziej zacieśniały.

Gdy rokowania, z powodu instrukcyj, danych delegacji sowieckiej w chwili, gdy w Moskwie oczekiwano rychłego zwycięstwa, stanęły na martwym punkcie i przyjeżdżał do Mińska półoficjalnie Ra-

---

[2]) I na Komisji spraw zagranicznych, i na plenum Sejmu oświadczyło się wówczas za wyprawą tą prócz socjalistów, ludowców, narodowej partji robotniczej i chrześcijańskiej demokracji również Zjednoczenie, z ktorego ramienia był premjerem p. Skulski, a na Wydziale politycznym własnego mego stronnictwa został postawiony wniosek, by stronnictwo oficjalnie się mnie wyparło. I po usilnej obronie zyskałem przeciwko temu wnioskowi ledwie parę głosów większości.

dek dla znalezienia wyjścia z tej sytuacji — konferowali z nim półoficjalnie również z naszej strony tylko przedstawiciele lewicy sejmowej. Ale reprezentowali oni w tej konferencji nie swój partyjny, lecz zbiorowy nasz całej delegacji pogląd, wypracowany w licznych naradach, — iż podstawą pokoju powinno być rozstrzygnięcie dziejowego między Rosją a Polską sporu o narodowo mieszane ziemie, przyczem Rosja przestanie się mieszać do spraw polsko-litewskich, a Polska do zagadnienia naddnieprzańskiej prawosławnej Ukrainy. Po przyjęciu tej formuły przez Radka zostało postanowione przeniesienie dalszych rokowań z Mińska na terytorjum neutralne, do Rygi. Ustalone w delegacji stosunki szczerej, harmonijnej współpracy trwały nadal i w Rydze. Szczególnie zaś zacieśniła się moja współpraca z posłem Barlickim i posłem Kiernikiem. We trzech też opracowaliśmy przyjęte następnie przez plenum delegacji sformułowanie I-go artykułu Preliminarza pokojowego, ustalającego: a) że granica oddziela Polskę od Białorusi i Ukrainy, że więc Białoruś i Ukraina są na wschód od tej granicy, a na zachód od niej jest tylko jednolite terytorjum Rzplitej polskiej, b) stwierdzającego, że sprawa przynależności państwowej spornych między Polską i Litwą terytorjów należy wyłącznie do Polski i Litwy, przekreślającego zatem zawarty przed kilku miesiącami układ litewsko-sowiecki i c) zawierającego opis linji granicznej. Wszyscy też trzej uzasadnialiśmy żądanie włączenia do Polski powiatów Dziśnieńskiego i Wilejskiego, oddzielających od Rosji sporną ziemię Wileńską, jako jedynej realnej gwarancji, że Sowiety dotrzymają swego zobowiązania nie mieszania się do sporu polsko-litewskiego. Że zaś koledzy przyznawali mi w swych rozmowach z korespondentami dzienników inicjatywę tego żądania, tak iż przez jakiś czas prasa nazywała powiaty te „korytarzem Grabskiego", świadczy to jedynie, jak przyjacielska była nasza współpraca, choć należeliśmy do różnych stronnictw.

Bywała nieraz, szczególnie w Mińsku, „tragicznie trudna rola" delegacji, ale nie moja w niej praca.

Szkoda, że przed napisaniem swego artykułu nie poinformował się p. Giertych u kogokolwiek z byłych członków delegacji o istniejących w niej stosunkach. Szkoda również, że nie przeczytał on dokładnie książki Jana Dąbskiego, choć wyrywa z niej poszczególne zdania dla swych polemicznych celów. Gdyby to zrobił — uniknąłby takich rażących błędów, jak zawarte w następujących jego zdaniach:

„Delegacja pokojowa w Rydze była formalnie związana instrukcjami, udzielonemi przez Radę Obrony Państwa delegacji, prowadzącej — w okresie szczytowych powodzeń ofensywy sowieckiej — pertraktacje pokojowe w Mińsku... Wobec oczywistego przestarzenia się tej instrukcji, delegacja ryska samowolnie instrukcje te przekroczyła, uzyskując linję graniczną, przesuniętą znacznie dalej na wschód... Chyba trudnoby wskazać drugi podobny przykład w całych dziejach powszechnych, by minister spraw zagranicznych zorganizowanego już całkowicie państwa nie pofatygował się udzielić ścisłych i dostosowanych do aktualnej sytuacji politycznej instrukcji delegatom na konferencję pokojową i by ta delegacja pokojowa, złożona w dodatku z ludzi o djametralnie sprzecznych poglądach, musiała dopiero w ogniu rokowań samorzutnie dochodzić do uświadomienia sobie, jaki właściwie ma być kierunek jej żądań".

Cały ten patos trafia w próżnię. Bo 11 września odbyło się opisane dość dokładnie przez Jana Dąbskiego (str. 76) posiedzenie Rady Obrony Państwa wraz z delegacją i członkami rządu — w celu właśnie dostosowania instrukcyj mińskich do zmienionych warunków. I na naradzie tej dyskutowano obszernie nad terytorjalnemi przedewszystkiem żądaniami. A że ustalona w wyniku tych obrad linja graniczna, której uzyskanie miało być obowiązkiem delegacji, nie różniła się zasadniczo od wykreślonej w przeddzień jeszcze bitwy warszawskiej linji maksymalnych naszych żądań — świadczy to jedynie, jak wielkim był w najcięższej chwili całej wojny 1920 r. optymizm gen. Rozwadowskiego. Gdy front bolszewicki oddalony był o dwadzieścia kilka kilometrów od Warszawy, kreślił on już przyszłą granicę Polski tak samo, jak ją potem projektowała Rada Obrony Państwa w czasie zwycięskiej już ofensywy we wrześniu, dotarła zaś do niej nasza armja już znacznie po naszem przybyciu do Rygi.

Pozatem jednak Rada Obrony Państwa dała delegacji instrukcję w nowej redakcji.

Zachowałem egzemplarz jej i cytuję zeń:

Tytuł: „Instrukcja dla delegacji polskiej w Rydze".
Wstęp: „Delegacja postępować będzie stosownie do wymienionych poniżej w odnośnych punktach wskazówek taktycznych i opracuje tezy swoje w myśl następujących zasad":

A dalej w sprawie granicy:

1. b. „Rozgraniczenie Polski z jednej a Rosji i Ukrainy z drugiej strony oprzeć się winno na równomiernem uwzględnieniu następujących zasad tego rozgraniczenia:

A. Zakończenie wiekowych walk między Polską a Rosją o sporne między niemi tereny i stworzenie podstaw dobrego sąsiedzkiego spółżycia obu narodów. Granica między obu państwami będzie ustalona nie na podstawie historycznych rewindykacyj obu stron, lecz sprawiedliwego pogodzenia żywotnych interesów stron rokujących.

B. Sprawiedliwe rozwiązanie spornych spraw narodowych na rzeczonem terytorjum tak, by wedle możności ustaloną została równowaga.

C. Trwałe zabezpieczenie bezpieczeństwa każdego z rzeczonych państw od ewentualnej napaści drugiej strony.

Ponieważ Polska dąży do pokoju porozumienia, a nie chce narzucać siłą swych warunków pokojowych, proponuje więc drugiej stronie wspólne ustalenie linji granicznej na podstawie rzeczonych zasad.

2. Delegacja powinna uzyskać przyjęcie tych zasad przez stronę przeciwną i prowadzić następnie w wyłaniającej się *ad hoc* komisji mieszanej obrady.

3. W ostatecznym rezultacie delegacja powinna uzyskać linję rozejmu i granicy państwowej jaknajbardziej zbliżoną do wykreślonej na załączonej mapie.

4. Delegacja prowadzić winna obrady tak, by nie dać powodu drugiej stronie do ewentualnego zerwania rokowań z powodu rzekomo nadmiernie wygórowanych żądań terytorjalnych Polski.

5. Z tych wszystkich względów wskazane jest ustalenie nasamprzód linji rozejmu, jako wynikającej z faktycznej sytuacji militarnej, a następnie dopiero utrwalenie tej linji rozejmowej jako linji granicznej, chyba, żeby delegacja rosyjska okazała gotowość przyznania Polsce linji granicznej [3]).

---

[3]) Po wielu latach cierpliwego znoszenia oskarżeń, że narzuciłem delegacji małoduszny jakoby pokój porozumienia, zdecydowałem się wreszcie instrukcję tę ujawnić. A czynię to, ponieważ niewątpliwe stwierdzenie faktu, że pokój porozumienia, zawarty w Rydze, był nie tylko „endeckim" moim pomysłem, ani samowolą zahypnotyzowanej jakoby przezemnie delegacji, ale zasadniczym programem jedynie władnej wówczas do przemawiania imieniem Polski Rady Obrony Państwa, przyczyni się korzystnie do tem większego umocnienia zawartego ostatnio z S. S. S. R. paktu o nieagresji. Natomiast nie liczę zgoła na poniechanie dalszego oczerniania mnie przez tych, co to dotychczas czynili.

Cały ustęp pod 1. b. tej instrukcji wszedł następnie, niemal bez zmiany, do tekstu deklaracji, złożonej przez delegację polską w Rydze na drugiem posiedzeniu konferencji pokojowej 24 września. Było to zgodne z zaleceniem, zawartem w punkcie 2., by delegacja polska starała się uzyskać przyjęcie przez stronę przeciwną zasady „pokoju porozumienia“.

Być może, nie podoba się to p. Giertychowi, narówni z p. Swidą, że pokój ryski, był „pokojem porozumienia“, ale takiego właśnie pokoju, któryby stworzył podstawy „dobrego sąsiedzkiego współżycia“ chciała wówczas najwyższa w tej sprawie instancja—Rada Obrony Państwa. I o ile wiem najgorętszym rzecznikiem „dobrego sąsiedzkiego współżycia“ z Rosją był zawsze i jest p. Roman Dmowski. Przyznaję się też, że wobec tego instrukcję tę uznałem za zwycięstwo programu narodowego w Radzie Obrony Państwa. Tem chętniej się też jej w pracy mej w Rydze trzymałem.

A ponieważ sam jeden byłem tam z byłych członków Komitetu Narodowego, wskutek tego też ci wszyscy, którzy naczelny cel polskiej polityki na wschodzie widzieli w odrywaniu od Rosji Ukrainy i Białorusi, po dziś dzień upatrują we mnie głównego winowajcę przekreślenia w Rydze mrzonek federacyjnych. Gdyby tak było naprawdę, byłbym z tego bardzo dumny. Ale prawda historyczna jest inna. Już Rada Obrony Państwa odrzuciła stanowczo „rewindykacje historyczne“, na których nasi federaliści opierali głównie swój program. Moja osobista inicjatywa spowodowała tylko to, że linja graniczna okrążyła od wschodu terytorjum ziemi wileńskiej, oddzieliła je od Rosji pasem bezspornie polskich posiadłości i łącząc się z granicą łotewską, oddzieliła również od Rosji zawsze nam wrogą i zaprzyjaźnioną z Niemcami Litwę [4]).

P. Giertycha niepokoi wszakże nadewszystko pytanie, „czy taktyka delegacji polskiej w Rydze, polegająca na ograniczeniu zgóry żądań do możliwego „*minimum*“ i walczeniu wyłącznie o to *minimum* —. była szczęśliwa.

Cóż jednak było *maximum*, a co *minimum* tego, co delegacja ryska miała osiągnąć w zakresie naszych żądań terytorjalnych?

Instrukcja wyraźnie to określa, mówiąc pod 3, że w ostatecznym rezultacie delegacja powinna uzyskać linję granicy „jaknajbardziej zbliżoną do wykreślonej na załączonej mapie“. „*Minimum*“ — była linja zbliżona do wykreślonej na mapie; „*maximum*“ — linja z nią identyczna. W każdym zaś razie miała delegacja uzyskać granicę, „wynikającą z faktycznej sytuacji militarnej“.

Wprawdzie p. Giertych uważa to właśnie stosowanie naszych żądań terytorjalnych do „faktycznej sytuacji militarnej“ za błąd, bo — jak mówi — „Pomorze w roku 1918 i 1919 nie było zbrojnie zajęte przez wojska koalicyjne, nie było nawet oddane w rozejmie, a jednak po podpisaniu i ratyfikacji traktatu pokojowego, Niemcy je Polsce zwróciły“. Ale jeśli był to błąd, to już w każdym razie nie delegacji ryskiej, jeno Rady Obrony Państwa, do której — jak wiadomo — należeli z ramienia Związku Ludowo-Narodowego nasamprzód p. Dmowski, a potem, gdy wystąpił on z niej, prof. Głąbiński, później zaś jeszcze ś. p. Aleksander Skarbek i dr. Załuska. Co ważniejsze jednak — p. Giertych w tem swojem rozumowaniu zapomniał o tym drobiazgu, że Niemcy zostały naprawdę rozgromione, przyznały się same do klęski, cesarz ich uciekł za granicę, i że prosiły one o pokój, wiedząc, że wśród celów wojny zwycięzcy zgóry postawili odbudowanie zjednoczonej ze wszystkich trzech zaborów Polski — armja zaś bolszewicka została tylko odparta, ale siła jej bojowa nie została zniszczona, nie uznała się ona za zwyciężoną i nie ona prosiła o rokowania pokojowe.

Ale Rada Obrony Państwa musiała o tem pamiętać i dlatego nikomu w niej nie przychodziło do głowy naśladować zwycięskich rządów antyniemieckiej koalicji. Natomiast nie wiedział wówczas nikt w Polsce tego, o czem wie tak napewno p. Giertych, że byleśmy byli bardziej w naszych żądaniach śmiali — bolszewicy odstąpiliby nam napewno jeszcze kilka miast i powiatów. Wszyscy zaś, i rząd, i Rada Obrony Państwa i my w Rydze wiedzieliśmy, że Sowiety szykowały się do kampanji zimowej, że w razie przeciągnięcia się wojny do zimy, bolszewicy potrafią w roku następnym wystawić przeciwko Polsce o wiele większą armję, niż ta, z którą podeszli pod Warszawę — jeśli tymczasem uporają się z Wranglem, a jakby zwyciężył Wrangel, w takim razie mielibyśmy w sprawie naszego rozgraniczenia z Rosją przeciwko sobie całą koalicję, nie wyłączając Francji. I wiedzieliśmy prócz tego, że Anglja popiera delegację sowiecką w Rydze w oporze przeciwko naszym żądaniom terytorjalnym tak jawnie, iż Wysoki Komisarz angielski na Litwę, Łotwę i Estonję przyszedł do mnie z przestrogą, iż jego rząd uważa żądanie przez nas granicy, odbiegającej od linji Curzona t. j. linji Buga za akt nieprzyjazny wobec Wielkiej Brytanji. Nie tajnem też nam było, że rząd moskiewski zdecydowany był odwołać swą delegację z Rygi, o ilebyśmy chcieli przeciągać nadal konferencję pokojową — tak iż dla zapobieżenia temu prezes Dąbski musiał wespół z Joffem ogłosić termin prekluzyjny zakończenia rokowań.

O tem wszystkiem wie chyba i p. Giertych, choćby z książki Jana Dąbskiego. I wie on, że uzyskana w Rydze granica nie tylko jest, szczególnie na północy, znacznie dalej posunięta na wschód od linji, której osiągnięcie było maksymalnem naszem zadaniem — lecz że ponadto włączyła ona do Polski większe terytorjum niż to, które „wynikało z faktycznej sytuacji militarnej“ — choć redakcja wszystkich artykułów preliminarza została utrzymana w tonie zaleconego nam „pokoju porozumienia“.

Pomimo to p. Giertych stanowczo twierdzi, że delegacja zgóry ograniczyła swe żądania „do możliwego *minimum*“.

Na czem opiera on ten zarzut? Tylko na „niepokojącem przypuszczeniu, że ustępstwa sowieckie mogły pójść i dalej“, oraz na swej wątpliwości, „czy nie było rzeczą możliwą osiągnąć linję Komitetu Narodowego“?

Wolno każdemu mieć, jakie mu się podoba, przypuszczenia. Ale nie wolno uczciwemu człowiekowi na przypuszczeniach opierać krzywdzących innych ludzi oskarżeń.

A co się tyczy tego, czy nie możliwem było osiągnąć linji Komitetu Narodowego — stwierdzam:

---

[4]) P. minister Sapieha nie przywiązywał do tego wagi, ponieważ dążył nie do wcielenia do Polski ziemi wileńskiej, lecz do federacji z Polską „Litwy dwukantonalnej.“

Było to możliwe i niemożliwe w tym samym stopniu, co uzyskanie na zachodzie od przyjaciół w Wersalu linji tegoż Komitetu Narodowego.

Granicę jednak zachodnią uważała zawsze — i mem zdaniem słusznie — opinja narodowa za wielki sukces dyplomatyczny, za *maximum* tego co można było osiągnąć — choć odbiega ona od programu Komitetu Narodowego o wiele bardziej, niż granica wschodnia, uzyskana od niepokonanego jeszcze wroga.

Trzeba mierzyć wszystkich jedną miara.

Można było uzyskać na wschodzie granicę Komitetu Narodowego, zawierając pokój w marcu, przed wyprawą Kijowską.

Dla uzyskania jej po tej wyprawie — trzebaby było nie kończyć wojny w październiku, ale przeciągnąć ją do zimy, a może i do roku przyszłego.

Rząd jednak, wraz z Radą Obrony Państwa, stanowczo domagał się natychmiastowego zawarcia pokoju. Dla przyśpieszenia rokowań chciano już wysyłać do Rygi ministra Sapiehę. A i my, i ja osobiście — przyznaję się, nie uważaliśmy, by dla podniesienia liczby mniejszości narodowych powyżej 40% należało przelewać dalej krew polską i ryzykować nowy marsz na Dniepr. Bo byli i zwolennicy ponowienia tego marszu — nie byle jacy. Pisze o nich Jan Dąbski. Mieli też oni swych agentów w Rydze. W minutę po podpisaniu preliminarza pokojowego podszedł do mnie jeden z przydzielonych delegacji „rzeczoznawców“ II-go oddziału ze słowami, tonem największej irytacji wypowiedzianemi: „zwyciężył pan na razie Piłsudskiego; ale mimo to będziemy jeszcze w Kijowie“. Rozumiem, że ci panowie budzą nieustannie „ból“, iż nasza granica wschodnia jest „minimalna“. Ale czemu p. Giertych i „Myśl Narodowa“ idą im w sukurs — tej polityki naprawdę nie rozumiem[5]).

STANISŁAW GRABSKI

---

[5]) Dyskusja wszczęta przez p. Giertycha — tak rozumieliśmy — nie miała w motywach swoich zamiaru robienia rekryminacyj prof. Grabskiemu, lecz celem jej było uwydatnienie przyczyn (wyprawa kijowska), dla których tak a nie inaczej wówczas się stało. Być może motyw ten wskutek białej plamy, w której zginął jeden ustęp, stał się mniej jasny, niż tego pragnął autor. Sprawa zaś jest dostatecznie ważna, aby ją współcześni — bez odkładania do tek archiwalnych dla historji — jasno sobie uprzytomnili w swojej świadomości dziejowej. Wdzięczni jesteśmy lojalnie prof. Grabskiemu, że odpowiedzą swoją, którą w całości zamieszczamy, zechciał przyczynić się do wyjaśnienia mniej znanych okoliczności tego momentu historycznego. — Red.

WALKA O AUTONOMJĘ UNIWERSYTECKĄ

(Ciąg dalszy)

7. PIERWSZY GENERALNY ATAK NA AUTONOMJĘ SZKÓŁ WYŻSZYCH W 1928 R.

W 1928 ROKU został na autonomję uniwersytecką przedsięwzięty generalny atak pod postacią projektu Rozporządzenia P. Prezydenta Rzeczypospolitej z 24 lutego 1928 r. o stosunku służbowym profesorów państwowych szkół akademickich i pomocniczych sił naukowych tych szkół.

Projekt ten, zaznaczam to z uznaniem, przysłany był do opinji Senatów Akademickich, czyli że można było jeszcze wcześniej zwrócić uwagę na niepożądane lub niewłaściwe dla godności profesorów artykuły i starać się temu zapobiedz. Jakkolwiek projekt był przesłany przez p. Ministra Dobruckiego, fama powszechna przypisywała projekt Rozporządzenia p. vice-premjerowi Bartlowi, profesorowi politechniki Lwowskiej.

Rozporządzenie to zostało bardzo pośpiesznie przygotowane, wskutek czego weszły do niego ustępy, które przy następnej redakcji, po zwróceniu uwagi przez Senaty akademickie, zostały bezzwłocznie usunięte, jako nielicujące z powagą samego aktu, albo jako zbyt daleko wówczas idące zarządzenia, które się zato tam dostały w $4^1/_2$ roku później, w ostatnim Rozporządzeniu z 27 października 1932 r. A więc opuszczono ustęp w par. 9, którego treść, zdaje się, referent wyjął z ogólnej pragmatyki urzędniczej, gdzie urzędnikom zaleca się być grzecznymi ze stronami. Tu zamieniono strony na studentów i profesorowie otrzymali zalecenie, aby byli grzeczni dla studentów. Zalecenie to uznano pośpiesznie za zbyteczne i usunięto.

Obecnie wstawiony nowy artykuł 23-a, w brzmieniu: „profesora, który wskutek zmian organizacyjnych w Szkole akademickiej i jej wydziale, oddziele lub studjum, stracił możność pracy w zakresie, wskazanym w dekrecie nominacyjnym, przenosi Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w stan nieczynny“, usiłował ówczesny projekt z 1928 r. już wtedy wprowadzić, choć w nieco innem brzmieniu, czemu wszystkie Senaty akademickie, przewidując jego konsekwencje, burzące całą istotę autonomji, stanowczo się przeciwstawiły przez Konferencję ówczesną Rektorów, co też zostało wtenczas uwzględnione i ten *passus* został z Rozporządzenia z r. 1928 usunięty.

Najprzykrzej uderzyły nas, profesorów, artykuły t. zw. dyscyplinarne, które wogóle przeważały w tem Rozporządzeniu, oraz par. 12, określający czego profesorowi nie wolno, który zwłaszcza w ustępie 1-szym był zredagowany bardzo niejasno, a przytem zdawał się ograniczać swobodną krytykę w sprawach uniwersyteckich, w najżywotniejszych dla danej katedry lub zakładu kwestjach. Pamiętam, jak ś. p. prof. Aleksander Rosner występował przeciw redakcji owego ustępu 1-go, który, jak twierdził, uniemożliwićby mógł wystąpienia przeciw organizacji jego kliniki ginekologicznej przez ludzi, albo nieznających się na rzeczy zupełnie, albo przez ludzi, mających pewien osobisty interes w załatwieniu odmiennem tej sprawy, zdaniem ś. p. profesora, szkodliwem.

Pamiętam, iż usiłowano oportunistycznie załagodzić jego opozycję zapewnieniem, że przecież nikt nie poważy się przeszkadzać w organizacji tej kliniki, do czego jedynie On, jej organizator był i jest wyłącznie powołanym, ale to zapewnienie, oczywiście nie miarodajne, nie mogło go uspokoić, i zdaje się do przedwczesnej swej śmierci

miał wiele powodów do uskarżania się na oportunizm tych, którzy jego obawy uważali za przesadne.

Artykułów ściśle dyscyplinarnych było dla profesorów od 26 do 66 — aż 40, dla sił pomocniczych — 3 (108, 109 i 110) — razem więc na 116 artykułów tego Rozporządzenia — było 43 artykuły karno-dyscyplinarne. Taki nacisk na dyscyplinarne przepisy, bez których dotychczas uczelnie wyższe doskonale się obchodziły, zrobił fatalne wrażenie. Czuliśmy się niezwykle tem dotknięci i skrępowani. Konsternacja była tak wielka, że, o ile pamiętam, trudno było znaleźć t. zw. rzecznika dyscyplinarnego i że ogólnie raził art. 45, iż „Ministerstwo W. R. i O. P. może dla danej sprawy dyscyplinarnej delegować komisję dyscyplinarną przy innej szkole akademickiej na prośbę obwinionego, na wniosek Senatu, lub jeżeli śledztwo zostało wdrożone przez Ministra (art. 50)—mocą własnej decyzji", gdyż czyniło to iluzorycznem własne sądownictwo danej Szkoły akademickiej i sprawę, która mogła wymagać specjalnej dyskrecji miejscowej, przenosiło poza obręb tej szkoły akademickiej.

Uważaliśmy, że te artykuły zostały zredagowane przez kogoś, zupełnie nie orjentuje się w środowisku uniwersyteckiem, nie zna bardzo wysokich i subtelnych drażliwości ludzi nauki, które należało uszanować, jak również nie orjentowano się, że jeżeli zachodziły jakieś wewnętrzne konflikty, to starano się je zawsze możliwie w najbliższem, koleżeńskiem gronie delikatnie, choć kiedy trzeba było, to i stanowczo, załatwić. Ale obchodzono się wtedy bez artykułów onych dyscyplinarnych i załatwiano je z korzyścią dla godności Wyższej Uczelni. O ile wiem, te artykuły po r. 1928 aż do dnia dzisiejszego nie zostały zużytkowane i rzecznicy dyscyplinarni nie mieli potrzeby wkraczania, gdyż jeżeli były takie sprawy, to załatwiano je polubownie jak dotychczas, i dyskretnie, jak przystoi profesorom uniwersytetu.

Sądzę, że będzie tak i nadal, o ile ministerstwo nie wprowadzi w kolegja profesorskie takich elementów, które nie będą umiały się dostosować do dotychczasowej, starodawnej kultury wszechnic i będą chciały formalnie różne punktu swego widzenia załatwić. Ale tak wierzę w potęgę dobrej, dawnej kultury uniwersyteckiej i dobrych obyczajów naszych Uczelni, że sądzę, iż oddziała ona i na te nowe elementy, niedopasowane początkowo do ogólnego wysokiego poziomu i próby dyscyplinowania formalnego profesorów spełzną przeważnie na niczem.

Oczywiście dotyczy to wszystko zakresu wewnętrznego spółżycia profesorów, które, wierzę, nie podda się skażeniu i wtargnięciu obcych mu kulturalnie żywiołów. Inaczej będzie tam, gdzie profesor jest stroną wobec władz administracyjnych — tu artykuły dyscyplinarne i rozdziały, dotyczące jego obowiązków i praw, i tak bardzo ścieśnionych, a zwłaszcza dotyczących rozwiązania stosunku służbowego, mogły już od 1928 r. dawać dosyć szerokie pole do stosowania swoistej ingerencji, kierowanej nie potrzebą nauki, ale punktem widzenia politycznym, zawsze niebezpiecznym, bo obosiecznym ze zmianą ustroju lub kierunku.

Usunięcie prof. Chrzanowskiego, po skończonym 65-ym roku życia, było wprawdzie zgodne z przepisami Rozporządzenia z 1928 r., ale jakże ową niespodziewaną przez nikogo decyzją dotknęło opinję publiczną, bo dotknęło człowieka w pełni sił i zdrowia, pracującego wydatnie naukowo, z ogromnym pożytkiem dla nauki i uczniów! Zrozumiane zostało jako pierwsze ostrzeżenie dla niewygodnych administracji profesorów, przypomniało podobne usunięcie w swoim czasie Mickiewicza z Sorbony przez ówczesny rząd francuski Ludwika Napoleona, które niczem nie zmniejszyło wielkości Mickiewicza i jego znaczenie jeszcze wówczas zwiększyło, a wskazało tylko na małość postępowania tego rządu, który zresztą doprowadził Francję, po ciągłych gwałtach i represjach policyjnych, a zarazem po niezabezpieczeniu obrony kraju przed najazdem niemieckim... do Sedanu. Uniwersytet Jagielloński w sprawie usunięcia Chrzanowskiego natychmiast reagował jednomyślną uchwałą Wydziału Filozoficznego i Senatu, nadającą Chrzanowskiemu godność profesora honorowego, a stąd i przedłużenie jego *veniam legendi*. To miało szeroki rozgłos w prasie i biurokracja ministerjalna chyba nie miała wielkiej satysfakcji z tego swojego zarządzenia, zwłaszcza po ukazaniu się 3 odczytów Chrzanowskiego „Około wychowania narodowego", przyjętych z zapałem przez ogół. Czuło się, że wchodzi się w stadjum poważniejszych rozstrzygnięć, wobec których opinja uniwersytetów nie da się zatrwożyć. Sprawa brzeska również nie mogła nie napotkać głębokiego oddźwięku moralnego w opinji uniwersytetów, która była i tu także prawie jednomyślna, bo jeżeli byli jacy przeciwnicy pisma profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, a potem innych wyższych uczelni z niem się solidaryzujących, to nie dali o tem znać wyraźnie opinji publicznej. Oczywiście oczekiwano potem zaostrzenia systemu, zwłaszcza gdy Ministerstwo W. R. i O. P. objął wkrótce po śmierci ministra Czerwińskiego, który już nie zdołał podpisać zwolnienia prof. Chrzanowskiego, obecny minister p. Janusz Jędrzejewicz.

(Dok. nast.) STEFAN SURZYCKI

LITERATURA POLSKA W RAMACH LITERATURY POWSZECHNEJ

Od lat kilku ukazuje się w Niemczech zeszytami wielkie wydawnictwo pod tytułem: „*Handbuch der Literaturwissenschaft*" pod redakcją Oskara Walzela. Wyszło już kilkanaście tomów, z których jeden zawiera w sobie historję literatury rosyjskiej i polskiej. Pierwszą opracował profesor uniwersytetu w Moskwie, P. N. Sakulin, drugą — profesor uniwersytetu lwowskiego Juljusz Kleiner. Obchodzi nas tutaj tylko ta druga.

Po ukazaniu się jej w druku (r. 1930) autor ogłosił w nr. 88 „Gazety Polskiej" (tegoż roku) artykuł, spełniając „karnie", jak sam powiada: „żądanie znakomitego pisarza" Kadena-Bandrowskiego;

jest to jakby przedmowa (której w oryginale niemieckim niema). Wyznaje tu Kleiner otwarcie, że miał trudne zadanie do spełnienia, a to przedewszystkiem ze względu na szczupłe rozmiary, wyznaczone mu przez redaktora: sześć arkuszy druku (w wielkim formacie, z ilustracjami); skończyło się jednak, po wykonaniu „tortury skracania“, na siedmiu arkuszach; (bolszewikowi Sakulinowi pozwolił Walzel, który, co to jest literatura polska, dowiedział się prawdopodobnie dopiero od Kleinera, rozeprzeć się na szesnastu arkuszach!).

Ze swego—istotnie bardzo trudnego—zadania autor wywiązał się, naogół biorąc, nietylko zwycięsko, ale wręcz trjumfalnie, odsłaniając mało dotychczas znaną stronę swoich uzdolnień naukowych, mianowicie umiejętność syntetycznego ujmowania rzeczy — bądź to całych prądów i kierunków literackich, bądź też najznamienniejszych cech poszczególnych utworów. Oszczędność słowa walczy tu o lepsze z trafnością charakterystyki i subtelnością sądu estetycznego, a gruntowne znawstwo literatury polskiej współzawodniczy z rozległą znajomością literatur obcych, która pozwoliła autorowi, obdarowanemu nie tylko znakomitą pamięcią, ale i zdolnością asocjacyjną, porównywać na każdym kroku twórców i zjawiska literatury polskiej z twórcami i zjawiskami literatury greckiej, rzymskiej, włoskiej, francuskiej, hiszpańskiej, angielskiej, niemieckiej, norweskiej, rosyjskiej. Dzięki temu spełnił Kleiner to, co poczytał za swoje główne zadanie: włączył polską „literaturę piękną“ w całość literatury światowej i uwydatnił jej piętno zachodnio-europejskie; a nadto wykazał niezbicie, że Polska, chociaż nie wytworzyła ani jednego prądu literackiego, niemniej przeto zajmuje poczesne stanowisko w historji literatury powszechnej, albowiem, jak mówi autor w pomienionym artykule, „pewne linje rozwojowe do kresu i do szczytu dochodzą“ dopiero w literaturze polskiej, i „niektóre problematy kształtowania artystycznego lub konstruowania poglądu na świat u nas dopiero zostały rozwiązane“, inne zaś znowu, „opanowane już zwycięsko przez twórców zagranicznych, doprowadzono w Polsce do znamiennych modyfikacyj czy dopełnień“.

Kochanowski, Krasicki, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Sienkiewicz, Wyspiański, Kasprowicz, Reymont i Berent: tych dziesięciu poetów poczytuje Kleiner za twórców wielkości literatury polskiej i jej wysokiego stanowiska w literaturze powszechnej, rozpatrując ich główne utwory, właśnie bądź jako szczyty wytworzonych przez obce literatury prądów, bądź jako ich twórcze modyfikacje. (Rzecz dla poglądów i upodobań estetycznych Kleinera bardzo znamienna, że do szeregu tych twórców nie zalicza Żeromskiego, z którego utworów jedynie „Wierną rzekę“ poczytuje za arcydzieło bez skazy).

Streszczać poglądy autora dla okazania ich nowości, słuszności, głębokości trudno, one same bowiem są streszczeniem, w którem próżnego słowa niema. Trudno także — w krótkiej recenzji — polemizować z niektóremi poglądami, z tym np., że, pisząc „Grażynę“, miał Mickiewicz na myśli stosunek Polski do Rosji (ani mu się śniło—i czyż to nie stać było Mickiewicza na świadomość całej podłości polityki niemieckiej wobec Litwy?); albo: czy można przystać na pogląd, że w „Panu Tadeuszu“ niema postaci wyidealizowanych — a Jankiel?

Lecz choćby nawet — raz, drugi i trzeci — nie zgadzać się z Kleinerem, każdy chyba, kto bezstronny, przyzna, że napisał rzecz, śmiało można powiedzieć, w wielkim stylu.

Szkoda tylko, że o całości zarysu nie można tego powiedzieć. A nie chodzi tutaj bynajmniej o zarzut nieproporcjonalnie krótkiego potraktowania literatury starcpolskiej w porównaniu z nowszą: to było nietylko koniecznością ze względu na szczupłe rozmiary, jakie autorowi narzucił redaktor, ale nadto rzeczą zupełnie usprawiedliwioną, wobec słusznego poglądu autora, że się literatura polska, poza Kochanowskim i Krasickim, dopiero w XIX wieku może równać z europejską. Natomiast idzie o to, że, im bardziej się autor zbliża do czasów ostatnich, tem wyraźniej maleje styl jego zarysu: oto historja literatury raz po raz zniża się do poziomu katalogu nazwisk, który otrzymuje nad nią stanowczą przewagę w rozdziale ostatnim, poświęconym literaturze współczesnej. *Cui bono*? Co mówią Niemcom albo innym cudzoziemcom te liczne nazwiska! Nic! Wprawdzie zaopatruje je zwykle autor w określenia, ale wśród nich, oprócz coś naprawdę określających, są i takie, które albo nie mówią nic, albo, nazywając rzecz po imieniu, są banalnemi komplementami. Dowiadujemy się np., ku niemałemu zdziwieniu, że biedny, zmarły świeżo Maciej Wierzbiński pisał porywające powieści (*„packende Erzählungskunst“), „in ihrem Zug zum Epischen dem Sienkiewicz verwandt“* (zapewne, tylko że to „dziesiąta woda po kisielu“, albo, jeśli kto woli, „krewieństwo po pstrym wole“); dowiadujemy się jeszcze, że przekład „Odyssei“, dokonany przez Wittlina i przekład „Fausta“ przez Zegadłowicza są „*hochinteressant*“, a to przez swój ekspresjonizm (to znaczy przez cechę, nie mającą nic wspólnego ani z Homerem, ani z Goethem—znowu przypomina się przysłowie: „Podobny, jak zając do biskupa“).

Wogóle, conajmniej trzy czwarte nazwisk, przytoczonych albo odznaczonych przez Kleinera w ostatnim (a nawet w dwóch ostatnich rozdziałach), mogłyby śmiało — i z niemałą korzyścią dla całości książki — pozostać w jego wielkiej, ale zbyt uprzejmej pamięci, czy też w jego miękkiem, ale zbyt już gościnnem (a może i trochę lękliwem) sercu, które nieraz płata nie mniej złośliwe figle jego zmysłowi krytycznemu i poczuciu estetycznemu, jak jego powadze i godności naukowej. Ta zaś zbytnia miękkość serca (a może i nadmierna przezorność) sprawiła jeszcze i to, że, chociaż w ogólnej charakterystyce współczesnej literatury autor nie zataja jej cieniów (str. 102—103 i 106), ale, charakteryzując twórczość autorów, albo o jej cieniach mówi półgębkiem, albo je pokrywa grobowem milczeniem.

Z tem wszystkiem raz jeszcze — z radością i z wdzięcznością dla autora — stwierdzić wolno i trzeba, że jego zarys jest przeważnie dziełem w wielkim stylu i że się swoją wartością naukową wybija bodaj czy nie na samo czoło tego wielkiego wydawnictwa, w którem się ukazał.

IGNACY CHRZANOWSKI

KOLENDA MARJANNY

I

Była Marjanna, służąca piegowata,
służyła u Państwa trzy czy cztery lata,
kuchnię miała niedużą, a łóżko w alkowie,
jedną suknię bordo, żółty włos na głowie.

Czy to Pan czy Pani—nikt jej w drogę nie wszedł,
w kuchni zlew się czerni, w kuchni złe powietrze,
schnie tam fuksja drobna, gruby fikus puchnie.
„Fe, to już nieładne! Zabrać to do kuchni“.

Przeczytała Pani Panu przy obiedzie,
że po całej Polsce ludziom źle się wiedzie,
że czy to urzędnik, krawiec, czy żołnierze
— każdy cudze dziecko na żywienie bierze.

Patrzy Pan na Panią, mocną kawę pije;
suknia czarna w kropki, biała, biała szyja;
śmieją się do siebie, potem ręce złączą:
„Dobrze nam ze sobą, na tem świat się kończy!“

Słyszała Marjanna przez drzwi niedomknięte...
Piecze cielęcinę — o tamtem pamięta;
pali w czterech piecach, biegnie po pieczywo,
myśl za myślą jej się snuje, jak nitka się zrywa.

Coś niedługo trwało, może do tygodnia,
jął się zjawiać chudy malec w czystej kuchni co dnia:
siedzi w brudnej kurtce, siniec ma pod okiem,
przed nim pełen talerz płaski i pełen głęboki.

II

Gniewała się Pani, cała w jedwabiu,
że co Marjanna raptem wyrabia.

Gniewał się Pan w krawacie modnym,
że przecie się daje na pomoc głodnym!

Patrzał Pawełek na Marjannę, oboje zatroskani,
„To mi się coś z pensji strąci, proszę Pani“.

III

W historji są święte dzieci,
pachnące jak kwiaty w lecie,
świergocące jak ptaszki...

Nie do nich Pawełek podobny:
zaraz stłukł talerz ozdobny,
dwie soku flaszki.

Ani jasnych kręconych loków,
ani innych pięknych widoków
nie było na nim.

Nie mył nigdy głowy kudłatej
i mieniło się brudem i łatą
jego ubranie.

Ani miał cudowne zjawienia,
ani snuł pobożne westchnienia
jak złotą przędzę,

gdy go z ławek groźbą pobicia
w nocy pustej senny policjant
śpiącego spędzał.

IV

„Skoro się nic nie da zmienić,
Marjanno,
jesteśmy niestety, zmuszeni
Marjannie
wymówić miejsce wśród zimy,
a teraz nie tak łatwo inne dostanie
Marjanna.
Bardzo się tem sami smucimy...
Już Marjanna zna gust mój i Pana...
Bardzo źle to i dla nas i dla niej,
lecz sama sobie winna Marjanna,
sama sobie Marjanna winna“.

V

Poszli Państwo w gościnę
po wilji na godzinę;
Marjanna zmywa talerze.

Życzyli Marjannie z opłatkiem
męża, nowej służby, dostatków...
Marjanna zmywa talerze.

Poszli do Pani Starszej...
Był barszcz i ryba z farszem;
Marjanna zmywa talerze.

Będzie domu samiutka strzegła:
jeszcze siedem dni do pierwszego!
...Marjanna zmywa talerze.

Stoi miska w kącie na skrzyni.
„Oj, Pawełku, toś mi uczynił!“
Leży biały opłatek i piernik...
„Samam winna. Nikt mię nie oczernił“.
Coś z bakalji, a gwiazda na wierzchu,
Ciepły szalik kupiła o zmierzchu!

„Wszy mu chodzą przez biedną głowinę.
Mróz na dworze. Łatwo dziecku zginąć“.
...Marjanna zmywa talerze.

„Głodne to to, brudne — bo bez matki...
Wolno Państwu dawać, i ja nie ostatnia“.
Marjanna zmywa talerze.

VI

Palą się gwiazdy małe i średnie i wielkie.
Talerze już w bufecie, ustawia Marjanna butelki.
Posłała łóżka, wodę sprawdziła w łazience.
Ściska ją żal, śrubę coraz mocniej na sercu przykręca.
Rośnie gniew: „Trzebaż było przez tego przybłędę!..
Ot, powie jutro Pani“... Wtem, jakby melodja kolendy
ruszyła serce, coś jak palec, gdy strunę zaczepi...
Jakże odpędzić go, głodnemu nie dać?
Ot zdrzemnę się lepiej!
Przyjdzie — otworzę“.
Miskę wsuwa w piec: niech czeka w cieple...
A mróz skrzypiąc na szybach gryzmolił zaciekle.

VII

Niewiadomo kędy wszedł, drzwiami czy ścianą,
patrzy, nie śmie słowa rzec Marjanna:
siedzi ktoś w światłości przy wilji,
aniołowie mu stół bielą nakryli
i sianem.

Czy Pawełek to w łachmanach i brudzie,
czy ten, przed kim na twarz padają ludzie?
Kuchnia cała pachnie zamorską różą,
klękła cicho Marjanna, oczu nie mruży...
o cudzie!..

„Tom ja z Tobą, Jezu, chleb mój dzieliła?!
Już mi służba cała moja choć w cierniach miła.
Gdybym to wiedziała rano,
inna wilja zgotowana
by dla ,ię była.

Toś Ty Ojca Niebieskiego dla mnie odbieżał,
a tu barszcz i ryba zimne, kluski nie świeże.
Gdyby Cię wprzód oznajmiali,
z lepszej wełny byłby szalik,
co tutaj leży!“.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

„Odpowiedź“ p. Skiwskiego — Rzecz przemilczana — Rzecz nowa, o której nie było mowy w dyskusji — Rzecz wyjaśniona.

P. JAN EMIL SKIWSKI obszerną i uprzejmą repliką[1]) zaszczycił fejleton mój z „Myśli Narodowej“ (nr. 1 z r. b.), gdzie kilka uwag poświęciłem artykułowi jego p. t. „Paradoksy trzeźwości“, poruszającemu sprawę stosunku nacjolizmu do katolicyzmu. Nie chcąc zostać w odpowiedzi dłużnym, raz jeszcze powracam do zagadnień omówionych, by ostatecznie wyjaśnić i sformułować niektóre przynajmniej różnice naszych pod tym względem stanowisk. Ustalenie takie może być, jak mniemam, także z ogólniejszego punktu widzenia użyteczne.

P. Skiwski w polemice swej pomija pewne z wysuniętych przezemnie objekcyj, porusza kwestje, o których w fejletonie moim nie było wogóle mowy, zaś w innych punktach daje odpowiedź najzupełniej wyczerpującą i rzeczową. Każda z tych trzech stron wspomnianego responsu zasługuje na bliższe nieco rozpatrzenie.

*

P. Skiwski dziwi się, że dosyć ironicznie potraktowałem zarówno postawioną przezeń tezę, iż katolicyzm, z natury rzeczy niejako, powinienby być nastrojony filosemicko, jak też i „rewelacyjny“ na uzasadnienie wymienionej tezy argument: „Dzieci, które Chrystus do siebie przygarniał, to były jednak rozwrzeszczane żydowskie bachory o krętych, rudych włosach — na to niema rady“[2]). „Co innego“ — pisze — „jest coś wiedzieć teoretycznie (że Chrystus żył i nauczał w Palestynie), a co innego uświadomić sobie obraz tego faktu jako życiowego. Codziennie czytamy o różnych wydarzeniach... a rzadko tylko uprzytamniamy sobie życiową barwę tych faktów“.

Wiem doskonale, iż p. Skiwski, jako uczeń i wielbiciel p. Boya-Żeleńskiego, zachwycał się zdolnością jego do przedstawiania „życiowej barwy“ zdarzeń z przeszłości, jak np. odmalowanym przez niego obrazem majówek filomackiej młodzieży wileńskiej z czasów mickiewiczowskich. Ze zwykłą u naśladowców skłonnością do przesady, postanowił „odświeżającą“ metodę p. Boya zastosować nietylko do dziejów literatury ojczystej, ale nawet do epizodów z Historji Świętej. Można mieć poważne zastrzeżenia co do dobrego smaku tego literackiego pomysłu, jak również co do popisywania się nim na łamach tego właśnie, boyowo żydowskiego tygodnika. Ale mnie, gdy poddawałem krytyce artykuł p. Skiwskiego, chodziło jeszcze o rzecz inną.

Zaciekawiło mnie mianowicie (i tu, niestety, nie otrzymałem żadnego wyjaśnienia), dlaczego to p. Skiwski, rozpisując się w żydowskiem piśmie o „żydowskiej aurze“ Ewangelij, tak wyłącznieześrodkował uwagę swoją na tej tylko idylli z „rozwrzeszczanemi bachorami“, dlaczego, gdy rozmyślał o stosunku wzajemnym żydostwa i chrystjanizmu, w imaginacji jego nie zarysowały się np. rzesze żydów dorosłych, rozwrzeszczanych: „ukrzyżuj!“, gromadzące się przed pałacem Piłata? Pocóż zresztą wybierać fakty aż tak patetyczne? Szczerze żałuję doprawdy, iż p. Skiwski, ze swą plastyką i zamiłowaniem do „życiowej barwy“ opisów historycznych, nie odmalował choćby dramatycznej chwili wypędzania kupczących ze świątyni, którzy chyba nie mniej byli żydami „o krętych, rudych włosach“, niż „bachory“, które Chrystus przygarniał? Wyobrażam sobie zgóry, jak to zręcznie p. Skiwski przekładałby prostą, dostojną prozę Wujka na bliższy czytelnikom „Wiadomości“, nowocześniejszy język... „Naszego Przeglądu“, którvby im pozwolił łatwiej „uświadomić sobie obraz tego faktu jako życiowego“: „usunięto siłą z gmachu kilku poważnych przedstawicieli kupiectwa, przyczem nie obyło się bez ekscesów, jak poprzewracanie stołów bankierów, stołków sprzedawców gołębi i t. p.“

*

W „Odpowiedzi“ swej p. J. E. Skiwski zaszczyca mnie miłym komplementem: „Muszę przyznać“ — pisze — „że p. Rembieliński nie zarzuca mi, że jestem na usługach „obcych agentur“, ani że mnie przekupił p. Gabrjel Jehuda Ben Ezra. W stosunku do dotychczasowej, ogromnie subtelnej i trafnej, taktyki polemicznej obozu, który reprezentuje p. Rembieliński, jest to bezwątpienia ogromny postęp. Przyznaję“.

Istotnie, jako żywo, nie miałem najmniejszego zamiaru obwiniać o te rzeczy p. Skiwskiego i doprawdy zupełnie zrozumieć nie mogę, skąd go nawet tego rodzaju nieprzyjemne myśli nawiedzają? Skoro wszakże oskarżona została przezeń w sposób ogólny „taktyka polemiczna obozu“, który reprezentuję, warto być może, również ogólnie całkiem, zagadnienie to w kilku przynajmniej słowach wytłumaczyć.

Nie należy „zgrywać się na prostaczków“ i wyobrażać sobie naiwnie, że „przekupienie“ pisarza polskiego odbywa się tą metodą, iż w gabinecie jego jawi się pewnego dnia żyd z kiesą złota, wylicza mu odpowiednią sumę pieniędzy i odbiera odeń wzamian cyrograf z przysięgą na wierną służbę Izraelowi. Ale życie jest życiem i niejednego „człowieka praktycznego“ można przecież spotkać obecnie właśnie w środowisku intelektualnem i artystycznem. Czyż tak całkiem nieznane jest zjawisko, iż jakiś literat, mogący współpracować w dwóch różnych czasopismach, wybiera to, w którem płacą lepiej, i, oczywiście, dostosowuje się też potrosze do gustów czytelników tego pisma i obyczaju, który jest obowiązujący w jego redakcji? Wobec dzisiejszych wpływów żydowskich wśród wydawców, krytyków, tłumaczów, w teatrach, w radjo, w „sferach urzędowych“ itd., częstokroć pisarz woli przezornie przemilczeć to i tamto, aniżeli narazić się owej groźnej potencji, inny zaś gotów jest uczynić nawet pewne kroki, byle tylko zjednać sobie jej życzliwość. Zwłaszcza, gdy mija młodość górna i lekkomyślna i „czas na serjo pomyśleć o interesach“, inteligentny autor zrozumie bez trudności, jaką intrantną rzeczą jest „szlachetne, humanitarne przeciwstawienie się nacjonalizmowi“ i da sobie spokój ze studencką donkiszoterją, nakazującą nazywanie żyda żydem i odmawianie mu prawa głosu w polskich sprawach.

*

Zagadnienie, czemu prace swe publikuje w „Wiadomościach literackich“, wyjaśnił p. Skiwski w spo-

[1]) „Odpowiedź p. Rembielińskiemu“, „Wiad. lit.“, nr. 5 z dn. 22.I r. b.

[2]) J. E. Skiwski: „Paradoksy trzeźwości“, „Wiad. lit.“, nr. 52 z r. ub.

sób istotnie przecinający jakąkolwiek dalszą na ten temat dyskusję: „artykułów moich nie wydrukuję w piśmie, które takich prac nie zamieszcza, tylko w piśmie, które je zamieszcza". Dodaje przytem, iż, współpracując w polskich pismach narodowych, czuł się ustawicznie skrępowany, nie pozwalano mu się w nich wywnętrzyć dowoli, aż wreszcie powiedział sobie: „dość mam tej tańcówki", machnął ręką — i poczuł się jak ptak swobodny... w piśmie żydowskiem...

Otóż w tym względzie można właściwie jedną tylko uczynić uwagę, całkiem ogólną. Każda grupa społeczna, każdy zespół posiada pewne obowiązujące w nim reguły, pewne przykazania czy konwenanse, uczucie zaś skrępowania powstaje wyłącznie z tego powodu, że się przebywa w środowisku duchowo obcem sobie i odległem. Dama z salonu zachowuje się całkiem swobodnie w ramach obowiązującej w nim etykiety, popełniłaby natomiast niejedną niezręczność, gdyby nagle znalazła się w izbie czeladnej. Człowiek uczciwy nie czuje się skrępowany postanowieniami kodeksu karnego o kradzieży, fałszerstwie itp., w niczem mu te przepisy nie przeszkadzają, gdy natomiast poglądy i obyczaje, panujące w szajce złodziejskiej, żenowałyby go w sposób nieznośny i *vice versa*.

P. Skiwski wie, że niektórych rzeczy nie da się wydrukować w polskich pismach narodowych, wie również, iż nie wszystko pozwolonoby mu wypowiedzieć na łamach nawet tak tolerancyjnego, „dyskusyjnego" tygodnika żydowskiego, jak „Wiadomości literackie". Niechajby spróbował chociażby nazywać w nim p. Pompera—Pomperem, a Grycendlera — Grycendlerem... Ale to już sprawa zgoła osobista, w jakim zespole człowiek czuje się bardziej swojsko, swobodniej. P. Skiwski oświadcza głośno, iż dokonał wyboru. Niepotrzebny tylko jest ten patos kaznodziejski w jego artykule: „Naród, któryby nie znosił otwartej dyskusji... byłby narodem bardzo lichym" i t. d. Pismo żydowskie — to naprawdę całkiem nieodpowiednia ambona do tak uroczystego strofowania narodu polskiego...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

UPADŁ WE FRANCJI RZĄD PAUL-BONCOURA. Misję utworzenia nowego gabinetu otrzymał po nim Daladier. Być może, iż zabiegi jego uwieńczone zostaną powodzeniem. W każdym razie wydaje się dość prawdopodobne, że rząd nowego premjera również nie utrzyma się długo przy władzy. Ministrowie zmieniają się we Francji często, może nawet równie często, jak w Polsce pod *régime*'m sanacyjnym. Niestałość rządów krytykuje obywatel francuski o wiele głośniej, niż dziś w ojczyźnie swojej obywatel polski. Mimo to silne we Francji jest poczucie, że hazard tych zmian nie wystawi interesu publicznego na niebezpieczeństwo. Przetasowanie figur w rządzie odbywa się może równie łatwo, jak w Polsce; ale mechanizm tych zmian jest dla każdego Francuza zrozumiały, co już samo przez się znacznie uśmierza niepokój opinji publicznej. Poprostu ministrowi zabrakło większości parlamentarnej. Śmieszna, być może, zasada z punktu widzenia racjonalnej organizacji państwa. Nam jednak chodzi o ustalenie, jak dalece francuskie przesilenia rządowe mają charakter istotnych przesileń. Otóż w psychologji politycznej Francuza-republikanina rzecz tak się przedstawia, że częste przerywanie pracy poszczególnym gabinetom jest jednak — gładkiem funkcjonowaniem ustroju. Znika Paul-Boncour, lecz nienaruszona zostaje ciągłość konstytucyjna. Figury, które kalejdoskopowo przychodzą do rządów, są to ludzie Francuzowi znani i wytrawni. Nie jest do pomyślenia, aby jakiś nowincjusz objął resort pierwszorzędnej wagi, jak np. ministerstwo spraw zagranicznych. Francuz wie o tem zgóry; jest to osobnym czynnikiem zaufania i przesileniom nadaje obliczalny i dość łagodny charakter. Zapewne, kraj coś traci na tak częstych zmianach osób, zajmujących stanowiska kierownicze. Pamiętać jednak należy, iż osoby się zmieniają, ale kierunek polityczny pozostaje ten sam. Być może, że i w Polsce jest podobnie; trudno jednak to stwierdzić, bo u nas o kierunkach polityki wogóle niewiele się dyskutuje. W każdym razie Francuzowi, jak powiedzieliśmy, zgóry wiadomo, że kierunek ogólny polityki, reprezentowanej przez nowego premjera, nie będzie żadną niespodzianką. Przesiadanie się starych wygów na mjnisterjalnych fotelach, aczkolwiek komiczne, nie naraża na szwank istotny ciągłości polityki francuskiej. Nie siądzie znienacka na fotelu nieznany człowiek z ubocza. Nie zdarza się też, aby udział kresowych Basków w rządzie był przytłaczający liczebnie. Wszystko to wyłącza niemal stanowczo element niepewności i ryzyka, i sprawia, że właśnie przy okazji zbyt częstych przesileń uwydatniają się jednak niektóre czynniki potężnej jedności duchowej narodu francuskiego. Zapewne, przesilenia te nie są dla narodu widowiskiem budującem, ani zdarzeniem szczególnie pożytecznem w polityce. Ale nie są niem wogóle nigdzie, gdzie się zdarzają, niezależnie od mechaniki politycznej, które je wywołuje. Francja dogania Polskę częstotliwością zmian w rządzie. Ma jednak swój własny system obrony polityki przed zbytnim hazardem, na co obserwatorzy także winni zwrócić uwagę.

OD KILKU JUŻ LAT, JAK WIADOMO, dodaje się powagi państwu przez ośmieszanie sejmu. Najwięcej dostojeństwa spływa tym sposobem na państwo w okresie sesji budżetowej. Ostatnio z orędzia marszałkowskiego, wygłoszonego przed kilku dniami. P. Świtalski przedstawił mianowicie tabelkę „przepracowań" budżetowych, jakich sejm ma dokonać. Debaty trwać mają mniejwięcej tydzień. Wewnątrz tygodnia rozkład pracy zaprojektowany został z pełną odpowiedzialnością: Konstytucja nakazuje załatwić budżet do 15 lutego, zatem każda minuta odtąd jest bardzo cenna. „Pierwsze posiedzenie 3 lutego zajmie 4 godziny" oświadczył marszałek, „dalsze po 7 godzin, mamy wiec do rozporządzenia 53 godziny. Licząc, według dotychczasowej praktyki, 19 godzin na przemówienia ministrów, pozostaje dla posłów 34 godziny... proponuję następujące kontyngenty czasu dla poszczególnych klubów: BBWR. — 13 godz. 35 m., Klub Narodowy — 5 godz. 46 m., Klub Ludowy — 4 godz. 2 m., PPS. — 2 godz. 41 m., Klub Ukraiński — 1 godz. 59 m., Ch.D. — 1 godz. 52 m., NPR. — 1 godz. 12 m., Klub Niemiecki — 40 m., Koło Żydowskie — 48 m., Frakcja Komunistyczna — 32 m., Klub Ukraińskich Socjalnych Radyka-

łów — 32 m., Stronnictwo Ortodoksyjne — 9 m., posłowie bez przynależności Klubowej — po 9 m." Obrady będą miały charakter tem poważniejszy, że tak będzie radził Sejm Rzplitej w dobie najcięższego kryzysu gospodarczego, szukając drogi wyjścia.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Państwową nagrodę literacką na rok 1932 przyznano Wacławowi Berentowi za powieść p. t. „Wywłaszczenie muz". Nagroda wynosi 10 tys. złotych. Decyzję jury zatwierdził minister WR. i OP. W sześćdziesięciolecie znakomitego pisarza, w tym roku mijające, rozpoczęto zbiorową edycję jego pism. W dwóch tomach ukazało się właśnie dawno wyczerpane „Próchno" (nakładem Gebethnera i Wolffa).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Bardzo zdrowa inicjatywa „Myśli Narodowej" zbiorowego zestawienia stanu naszego szkolnictwa współczesnego wobec kryzysu finansowego i moralnego, jaki przeżywamy, doprowadziła do powstania książki J. Hajewicza i S. Jaworskiego, pt. „Kryzys wychowania i oświaty". (Nakładem „Myśli Narodowej", Warszawa 1932 str. 116). Zawiera ona 9 rozdziałów, czy rozprawek na następujące tematy: Myśli o „wychowaniu państwowem" — Niedola szkolnictwa powszechnego — „Sanacja" szkoły średniej — Niestałość pracy nauczycielstwa — Upadek szkolnictwa w okresie rządów sanacyjnych — Pokrzywdzenie ludności polskiej w nowej ustawie szkolnej — Stan administracji szkolnej — Walka o duszę młodzieży—Oświata pozaszkolna i rola w niej „sanacji". Poszczególne artykuły nie wszystkie jednako ujęte. Są dłuższe i krótsze, konkretne, oparte na szerokiej podstawie faktów i statystyce, i zasadnicze, i polemiczne, i krytyczne. Książka bardzo ciekawa, przytem jednak bardzo smutna. Bo bywały przed wojną częste artykuły „z doli i niedoli szkolnictwa polskiego" pod zaborem rosyjskim, ale smutkiem musi przejmować fakt, jeśli podobny tytuł jest możliwy w wolnej Rzeczypospolitej. Rozumiemy, że kryzys gospodarczy, przygniatający całość życia, i w szkolnictwie musi się dotkliwie odbijać, ale jeszcze większym niepokojem musi napawać system sanacyjnych rządów w szkolnictwie, zilustrowany licznemi przykładami, tak ogólnych tendencyj, jak przedewszystkiem szczegółowych zarządzeń. A przecie obraz nie jest zupełny, wszak wielu szczegółów, z uwagi na zainteresowanych, nie można było podać, wszak całe działy zostały pominięte, jak szkolnictwo zawodowe i wyższe, albo życie w szkołach niepolskich, „oświatowa" działalność organizacyj mniejszościowych itd.

Ogół społeczeństwa powinien poznać tę książeczkę, a zwłaszcza powinni ją przestudjować ci z BBWR., którzy nie tylko myślą o „pokoleniu rządzącem", ale o całości Rzeczypospolitej i nie tylko o dniu dzisiejszym, ale i dalszej przyszłości. (L. B.)

*

Ukazał się nowy rocznik „Pamiętnika Koła Kielczan" t. V za r. 1932, pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego. Do tomu tego weszła znakomita praca historyczna prof. Uniw. poznańskiego Kazimierza Tymienieckiego „Związki ziemi kielecko-sandomierskiej z Bałtykiem" (od XII wieku). Dalej znajdujemy niezwykle ciekawe studjum Juljusza Nowaka „O dawnym Rakowie" jako ognisku Arjan. Bolesław Markowski z Kielc, b. rektor W. S. H. zamieścił studjum statystyczne „Szkolnictwo w Kielcach w l. 1919 — 1931". Pierwsze to chyba opracowanie za ten okres czasu. Z literatury mamy w tym roczniku rzecz o Adolfie Dygasińskim przez Z. Wasilewskiego oraz urywek z pamiętników córki p. Z. Dygasińskiej - Wolertowej. Następuje potem „*Epistolarium*", zawierające sześć listów z komentarzem Z. W.: list A. Towiańskiego, dwa listy Jana Matejki, list Michała Czajkowskiego (Sadyka Paszy), K. Ujejskiego i list St. Żeromskiego.

Do literackich przyczynków należy notatka o zmarłym niedawno Feliksie Chwalibogu i piękny jego wiersz pośmiertny na cześć życia. Bardzo ciekawe wspomnienia z lat szkolnych przyrodnika Karola Drymmera dotyczą czasów powstania 1863 r. Wiele miejsca „Pamiętnik" poświęca zmarłym w ostatnich latach Kielczanom. Znaleźli się tutaj: ks. Teodor Czerwiński (prefekt), Wiktor Jaroński, Marjan Wilkoszewski, Feliks Kwieciński, Stefan Wielowieyski, Jan Zagleniczny, Marjan Lange, Antoni Humnicki. Dodano do tego sześć portretów.

Kronika kielecka i dział sprawozdawczy działalności Koła Kielczan dopełniają piękną całość.

Z ilustracyj, poza pomienionemi portretami, na uwagę zasługuje nieznany wizerunek Dygasińskiego z r. 1880, oraz portret muzyka Feliksa Jarońskiego (1823 — 1895). Mamy też *facsimilia* listów Towiańskiego i Matejki. Zeszyt zdobi bardzo ciekawa plansza według fotografji z szybowca, przedstawiająca katedrę i zamek kielecki.

Ktoby chciał nabyć ten tom, niech wyśle czekiem na P. K. O. zł. 6, adresując: „Koło Kielczan, nr. 12310".

*

Wilno posiada szczególną właściwość: oto bardzo łatwo asymiluje ono ludzi, którzy doń się zbliżają z miłością. Nie jest ono ekspansywne i nie reklamuje siebie. Bynajmniej. Raczej odwrotnie: zniechęca tych, co samych siebie szukają zawsze i pragną innym siebie narzucić. Ale zato przygarnia miłośnie i ufnie przed tym się odkrywa, kto szczerze i po przyjacielsku do niego się zwraca. Jeden taki przykład pragniemy tu zademonstrować. Oto przed 10 laty przybył do Wilna p. Tadeusz Turkowski, zasłużony pedagog i bibljofil— i rozkochał się w Wilnie, poznając szczególnie dokładnie dzieje książki wileńskiej. Owocem tych badań są trzy prace, wydane przezeń w l. 1928 — 32, częściowo pod własnem nazwiskiem, częściowo zaś pod pseudonimem Jerzego Czarneckiego. Prace te, to: „Wilno w dziejach książki polskiej" (w Wilnie, 1928, str. 24); 2) „Archiwum księgarni Zawadzkich w Wilnie" (Warszawa, 1932, str. 26, odbitka ze sprawozdań z posiedzeń T-wa Nauk. Warsz. XXIV), oraz 3) „Rzut oka na historję książki wileńskiej" (Kraków, 1932, Wilno, str. 48, oraz 23 podobizn na osobnych kartach).

Studja te dają niezłe pojęcie o rozwoju ruchu wydawniczego wileńskiego w ciągu 400 lat i są świadectwem niepowszedniej znajomości przedmiotu oraz gorącego umiłowania jego przez autora. Wszystkie te prace (zwłaszcza zaś ostatnia) są bardzo starannie wydane, szczególnie zaś niektóre ilustracje rzucają światło na rozwój książki w Wilnie oraz na wpływ piśmiennictwa polskiego na Litwę, Ruś i Łotwę. Ciekawe są też próby statystyki i porównania pomiędzy ruchem wydawniczym Wilna a innych miast Polski; np. dowiadujemy się, że w l. 1799 — 1800 z pośród wszystkich miast polskich (nie wyłączając Warszawy) największą liczbę druków miało Wilno właśnie („Rzut oka", str. 25).

Poniekąd jako uzupełnienie powyższych studjów Turkowskiego ma się wkrótce ukazać praca Stanisława Cywińskiego p. t. „Literatura w Wilnie i Wilno w literaturze". Druk (w wydawnictwie wojewódzkiem: „Wilno i ziemia wileńska") już się ma ku końcowi. Praca będzie liczyć przeszło 40 str. wielkiej ósemki, druk na dwie szpalty, ilustracje (w liczbie około 40) zostały umiejętnie wybrane przez prof. Ruszczyca. (A. P.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Jedno z pism francuskich („*Bulletin des Lettres*") zwróciło się niedawno do wielu pisarzy dzisiejszych z zapytaniem — jacy są ich autorzy ulubieni? Ankieta wypadła dość ciekawie. Najwięcej głosów (22) otrzymali Stendhal i Flaubert, za nimi idą — Balzac i Baudelaire (19), Chateaubriand (10), Hugo, Lamartine, Rimbaud (7), Mallarmé (6), Musset (5), André Chénier (1). Wśród klasyków najwięcej głosów otrzymał Racine (22), po nim La Fontaine (18), Montaigne i Pascal (13), Rabelais (12), Ronsaud (11), Molière (10), Voltaire i Rousseau (8), Descartes (5), Villon (4), Bossuet (3), Corneille (2). Z autorów obcych najwięcej głosów otrzymał Szekspir (15), potem zaraz idą — Cervantes i Tołstoj (13), Dostojewski (11), Goethe (9), Dante i Kipling (8), Poe i Dickens (5). Iluż tu pominiętych, ilu poniżonych, ile zupełnie zapomnianych!
(W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

NA CZOŁO wystaw styczniowych w Zachęcie wysuwa się zbiór prac Michaliny Krzyżanowskiej. Krajobrazy artystki stawiają ją w rzędzie naszych najwybitniejszych pejzażystów, a już jeśli chodzi o panie malujące, niewiele kobiet zapewne potrafi dotrzymać jej placu. Sposobem malowania Krzyżanowska odróżnia się wyraźnie od pejzażystów szkoły krakowskiej, od jej naśladowców i spadkobierców, podkreślających chętnie de-

koracyjność krajobrazu, a zarazem skłonnych do ujęcia sylwetowego i malowania nieco płasko. Bliższe już jest malarstwo Krzyżanowskiej technice młodych pejzażystów ze szkoły Pruszkowskiego, bliższe swobodnem i zamaszystem kładzeniem plamy maźnięciem pendzla, choć nie tak płynne, a bardziej podkreślające gęstość, ciężar i mastkość farby olejnej. Ten rodzaj techniki spokrewnia, przynajmniej zewnętrznie, sztukę artystki z odtwórcami krajobrazu w malarstwie rosyjskiem doby impresjonizmu. A łącznikiem w temacie będzie często odtwarzany przez malarkę krajobraz północny lub wschodni: z Pomorza, z Kresów, z okolic Łucka, Krzemieńca.

Wspomniana technika nadaje połaciom świata, utrwalanym na płótnie, znamiona realizmu, czyni je bardziej ważkiemi, uwidocznia ich materjalność, bez specjalnego podkreślania faktury.

W wyborze motywów wykazuje Krzyżanowska dużą różnorodność, widzimy tu rozległe widoki przestrzenne, morze, sad, drzewa, miasteczko, most i rzekę i t. d. Nieraz, przez trafne uchwycenie momentu, osiąga artystka wyraz (np. posępny widok morza i nieba ciemnego), nieraz usiłuje w nowym temacie dać nowe ujęcie i technikę odmienną (np. „Port Rybacki w Helu II").

Oprócz pejzażów wystawiła malarka widoki wnętrz.

*

W sali obok, E. Okoń wystawił szereg pejzażów z Jugosławji, z nad brzegów Adrjatyku. Krajobrazy te nużą sposobem interpretacji, jak rówież ujęcia. Przy pomocy środków dość już skostniałych, Okoń stara się wmówić nam żar południowego słońca, błękit nieba i świetlistość białych murów budowli. Pragnęlibyśmy uwierzyć, lecz malarz sugeruje nas w sposób tak beznamiętny, że zapas dobrej woli z naszej strony nie wytarcza. Widoki są malowane naprawdę z natury, ale z takim samym skutkiem możnaby je malować w domu. A potem poumieszczać na korytarzach „*Wagons-Lits*".

*

Jednocześnie z M. Krzyżanowską urządził w Zachęcie zbiorową wystawę swych prac Tadeusz Cieślewski, syn. Zbiór składa się z grafik, akwarel i rysunków. Jeśli chodzi o drzeworyty artysty, znanego ze swej płodności — zostały one mocno przebrane i grafik wystawił tylko część swego obfitego dorobku, wybór, zapewne najtrafniej rysujący, jego sylwetkę artystyczną. Taka selekcja na złe wystawionym pracom nie wyszła. Co się tyczy zaś utworów pozostałych, Cieślewski takiego wyboru nie robił (przynajmniej nie widać tego) i ma się wrażenie, iż nie pozostawił w tece ani okrucha.

Były w tem racje niejakie: wystawa zbiorowa powinna przedstawiać artystę jaknajwszechstronniej; w ten sposób także możemy zajrzeć jakby za kulisy twórczości, co jest ważne, zwłaszcza jeśli chodzi o grafika, który na pokazach graficznych ma możność wystawiania prac tylko w zakres rytownictwa wchodzących. Słuszny pomysł w realizacji uległ jednak pewnej przesadzie: sporo tu drobnostek, rzeczy błahych, które niczego nie tłumaczą i niczem swojej obecności na wystawie nie usprawiedliwiają. Szkice i studja ciekawsze, w czem przeważa architektura, mają nerw rysunkowy i nierzadko szlachetny koloryt.

Mimo tych lub innych zalet, trzeba stwierdzić, że Cieślewski, z tytułu prac podobnych, nie zajmie w naszej sztuce współczesnej miejsca, jakie mu przysługuje z racji jego działalności rytowniczej. Należy je traktować jako studja pomocnicze, zaś artystę uważać przedewszystkiem za grafika.

Technika Cieślewskiego rozwijała się stopniowo, od prostej, lecz szlachetnej, do coraz bardziej pomysłowej w środkach. Ponieważ grafik niemal wyłącznie odtwarza architekturę, technika wyrosła głównie ze sposobów, jakiemi artysta uważał za najlepsze ją uzmysławiać. Być może, przeniesiona na teren innego tematu, straciłaby, że się tak wyrażę, grunt pod nogami. I w tem się kryje jej głębsza wartość. Jedną z cech techniki rytownika jest także drobna skala cięcia rylcem, co uważamy za potrzebne podkreślić, gdyż takie właściwości techniczne zmuszają do precyzji, dbałego i przemyślanego traktowania rytu. Skoro Cieślewski, co mu się nieraz zdarza, wykona drzeworyt niedbale, jakby szkicowo, wspomnianą właśnie techniką — niesłuszność takiego jej użycia odbija się w sposób decydujący na wartości pracy. W wypadkach podobnego podejścia uczuciowego, właściwszą byłaby technika szeroka, zamaszysta, o efektach bardziej zdecydowanych i prostszych. Za przykład mogą posłużyć niektóre linoryty.

Przejdźmy teraz do treści. Nie popełnimy zbytniej niedokładności, nazywając Cieślewskiego symbolistą. „Czując" architekturę, zżyty z nią, umiejąc odtwarzać jej formy, pragnie także wyczuć w niej treść wewnętrzną. Opowiada o tem, przechodząc od grafiki realistycznej do kompozycyj graficznych. Wyraźnie zakreślony krąg tematów i symbolów zmusza artystę — tu więcej, niż gdzieindziej — do ciągłej reinkarnacji sposobów ujmowania całości, do bacznej kontroli języka graficznego. Posłuszny tym nakazom, daje Cieślewski dzieła wartościowe, gdy wyłamie się z nich — utwory nieciekawe.

Pomysł dołączenia do wystawy (plastycznej) utworów pióra nie powinien w przyszłości znajdować naśladowców.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„MOST" SZANIAWSKIEGO

ODKŁADAJĄC do zeszytu następnego obszerniejsze omówienie nowego dzieła dramatycznego, które Jerzy Szaniawski wystawił w teatrze Narodowym, zaznaczamy w tem miejscu, że publiczność przyjęła je z entuzjazmem. Każda nowa sztuka tego niepospolitego twórcy dramatycznego robi wrażenie, że jest lepsza od poprzednich. Sprawia to pewno postępująca dojrzałość myśli, bo kunszt artystyczny już dawno zdobył szczyty.

W niesłabnącem napięciu uwagi i z głębokiem wzruszeniem braliśmy udział w akcji dramatycznej tego mistrzowskiego utworu, tak prostego w pomyśle, a tak głęboko sięgającego w zagadnienie człowieka, jako tworu społecznego.

Dramat Szaniawskiego, doskonale opracowany scenicznie i po aktorsku, jest wybitnem zdarzeniem w życiu teatru. Zasługa też niemała artystów tej miary, co Węgrzyn i Stępowski. Gra ich, nie budząca żadnych zastrzeżeń, porywa, tak doskonale odpowiada dziełu dramaturga. Pięknie też wykonali swe role pp. Lindorfówna, Żelski, Dominiak i Brydziński.

W.

FILM

APOLLO: „Romeo i Julcia" reż. J. Nowina-Przybylski.

Znowu komedja, a właściwie znowu farsa. Osnową scenarjusza są perypetje właścicieli biura matrymonjalnego. Nienajgorsza to kanwa, na której można by wyszyć wiele kinowo b. dobrych „kawałów". Możnaby, ale... nie u nas. Bez obawy popełnienia omyłki, możemy posądzać naszych reżyserów o brak ambicji twórczej. Ale oglądają chyba, tak jak wszycy zresztą, dobre filmy zagraniczne, mogliby przynajmniej coś z nich się nauczyć. Czy im się jednak chce? Dadzą kilka dobrych pomysłów na początek (rozdawanie ulotki, reklamy biura na ulicy, przez Dymszę), dwa — trzy w środku i już! A przecież jeden dobrze zrobiony „kawał" dowodzi, że autorem filmu udałoby się może zrobić ich więcej, gdyby przysiedzieli fałd i wytężyli mózgownice.

Oto przykład efektu, uzyskanego z dobrego montażu. Wspólnicy, właściciele biura, idą inkasować pierwszą ratę od świeżo przez nich upieczonego stadła. Trafiają jaknajgorzej, bo niedobrane małżeństwo na nich zgodnie chce wywrzeć zemstę. Ledwo uciekli z całą skórą na grzbiecie. Stroskani, zziajani siedzą w biurze. Raptem dzwonek. Aha, to zapewne pomocnik wraca z gotówką, którą poszedł inkasować gdzieindziej. Otwierają drzwi i ukazuje się... obandażowana od stóp do głów postać drugiego inkasenta.

Zestawienie tych dwuch obrazów — początku jednego zdarzenia i końca drugiego — wywołuje pożądany efekt, osiągnięty lapidarnie w swej wymowie środkami prawdziwego kina. Podobnych momentów, niestety, w całym filmie jest b. niewiele. Lekcje dobrego tonu, to już materjał dla trzeciorzędnego kabaretu. W drugiej połowie filmu z konstrukcją coraz gorzej, posklejano tu bardzo luźno z sobą związane kawałki, a koniec daje znać o sobie na długo jeszcze przed zapaleniem świateł na widowni.

Dymsza i Pogorzelska poczynają nużyć manjerą wiecznie tych samych min i ruchów. Jeden Sielański stwarza sylwetę głupka, dając posmak komizmu naprawdę kinowego.

Udźwiękowienie marne, i niedużo można zrozumieć, a monolog Toma całkiem niepotrzebny.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. IGNACY OKSZA-GRABOWSKI

WD. 28 STYCZNIA rb. zmarł literat i publicysta śp. Ignacy Oksza-Grabowski. Urodzony w r. 1866 w Płockiem, ukończył w Warszawie wydział przyrodniczy, poczem studjował agronomję w Niemczech. Pracował zrazu w przemyśle, potem osiadł na roli, wreszcie od r. 1897 mieszkał stale w Warszawie i tu oddawał się pracy pisarskiej. W ostatnich kilku latach był urzędnikiem w N. Izbie Kontroli i zdala od terenu literackiego się trzymał.

Jako pisarz dał się poznać chlubnie na kilku polach: dramaturg, nowelista, krytyk, publicysta. Lubując się w paradoksalności, a rozporządzając bogatym temperamentem pisarskim, wytworzył właściwy sobie styl aforystyczny, nie lękający się głębin myślowych, przekornie wojujący z utartemi poglądami i zawsze interesujący.

W r. 1899 wystawił w Warszawie komedję pt. „Szarada", potem nastąpiło dzieło dramatyczne: „Bez wyjścia", „Weksel płatny", „Burza", „Cygan", „Król Stanisław August" i wreszcie „Sokół" (1910).

W czasie wojny wydał w Kijowie interesującą książkę publicystyczną, a w r. 1930 książkę z zakresu estetyki „Styl". Rasowo należał do grupy pisarzy mazurskich, zadzierżyście myślących, rąbiących, karczujących, ale w XIX w. nie mających dla siebie dostatecznej organizacji kulturalnej, któraby umysłowi wyznaczyła właściwe pole i zapewniła ciągłość rozwoju.

Jak wielu innych pisarzy z pokoleń poprzednich i z pokolenia rówieśnego, pracować musiał dorywczo, tu i tam na wyrywki, po dyletancku, marnując nieraz ziarna wiedzy i talentu, zadowalając się nagrodą krótkiego poklasku w prasie lokalnej, bez echa, któreby grało, kiedy się grać przestaje.

Ludzie w tych warunkach schodzą z pola jak przechodzeń: ani go ma kto żegnać, ani on żegna. Bez zanotowanego w rejestrach nazwiska.

Niechże współcześni śp. Grabowskiemu dadzą świadectwo prawdzie historycznej, że żył, szukał dróg ku światłu, i dał z siebie, co mógł, a jeśli błądził, oni mu wybaczyli.

Niech spoczywa w pokoju!

W.

OFENSYWA

„NASI W PARYŻU"

BARDZO, bardzo nieprzyjemne opowieści kilku kolejno redaków z Paryża. Skonfrontowane z pokłosiem różnorodnej prasy, w sumie pouczają o nastawieniu opinji publicznej stolicy Francji w stosunku do nas całkiem groźnem, o opuszczeniu i osamotnieniu nas już definitywnem. Nie należy ograniczać się w dopełnianiu sobie opowieści lekturą tych oficjalnych organów prasy, z których streszczenia daje nasz Pat i nasze dzienniki, ale sięgnąć ręką trzeba głębiej, w tygodniki polityczne.

Oto jak nadchodzącą przyszłość odmalowuje *„La Nouvelle Lanterne"*.

„Pewnego dnia, pod jakimkolwiek pozorem wejdą Niemcy w korytarz polski. Zajmą go. I nikt się nie ruszy. Niema ani jednego Francuza, któryby się zgodził bić za Polskę. Zaś Anglja jest przeciw Polsce. Italja nie dba o nią. Będą protesty w Lidze Narodów. To kpiny. Będzie długi proces w Lidze, ale bez postanowienia. A Niemcy będą dalej siedziały w korytarzu, oczywiście tymczasowo, podobnie, jak Austrja tak długo okupowała Bośnię i Hercegowinę".

To jest powiedziane krótko, węzłowato i nieodpowiedzialnie. Ale jaka to temperatura uczuć w prasie paryskiej, oficjalnej i bulwarowej? Dwa stopnie poniżej zera. Mróz. Lód. Ogólny kamerton: *La Paix à tout prix! Hommes de paix! Attention au couloir! Lâchons la Pologne* i kwita. Tu i owdzie tytuły: „Tragedja Polski", „Zaczyna się dramat Polski", ba! Już nawet o „rewizji" całkiem jawnie i jasno! Co tam cytować tylko „*Volonté*", „*Quotidien*", „*République*"? Te codzień lub co drugi dzień: *lachons! lachons!* Już jednak i „*Echo*" i „*Ere Nouvelle*" i oba organy perfumiarza Coty'ego coraz dwuznaczniejsze i zimniejsze. Oczywiście nie mówi się nawet o codziennych atakach „*Populaire*'a" i „*L'Humanité*"; „*La France Militaire*" o Polakach milczy, jakby ich nie było. Jeszcze w „Debatach" ostatniemi wysiłkami bronią naszej sprawy, jeszcze Bainville, Daudet lub Maurras, Kerillis przygodnie coś się o nas upomną; ale już coraz rzadziej i coraz ciszej. Odchodzą wszyscy, kolejno wszyscy. Już i w „*Temps*" czytało się czarne na białem:

„problemat korytarza już dojrzał do dyskusji publicznej i oficjalnej"...

Już nawet z faszystowskiemi Włochami, jakoby zionącemi wojennemi płomieniami, wolą mieć „Młodoturcy" do czynienia, byle nie z Polską, nie dla Polski. To już jest jasne i niema się co ani na chwilę łudzić, żeby to się mogło łatwo odmienić. Będą jeszcze zygzaki, momenty retardujące, reminescencje, czkawki, komplementy oficjalne, przyjazdy, bankiety, widowiska przyjaźni, ale szczerej uczuciowości już ani śladu, a tylko silne, niecierpliwe podniecenie, żeby raz z tem skończyć, raz ich puścić wolno na wodę, raz się zrzec z kretesem tego niemiłego aljanta, nieznośnego sojusznika, no i kiepskiego kundmana, lichego nabywcy, w porównaniu z Niemcami poprostu dziada obtarganego, a w porównaniu z Sowietami bagateli.

Jak doszło tedy do takiego oziębienia przyjaźni polsko-francuskiej? O tem powinien wyjść wnet „gruby tom", ale tylko na 150 stron, nie więcej. *J'accuse.* Potem powinno wyjść pięć broszur, też po 150 stron, oświetlających różne fazy i prześwietlających różne fakty. Narazie, zamiast tego wszystkiego, damy tylko jeden krótki cytat.

Tygodnik „*Candide*" z dnia 14 października r. 1926. Ustęp drukowany w prasie polskiej 18 paźdź. 1926, ale zapomniany i przebrzmiały:

„Trzeba ustalić niektóre rzeczy. Wojsko polskie, które stworzył Piłsudski i które wyruszyło na wojnę 6-go sierpnia 1914, nie było wojskiem Polski niepodległej, lecz wojskiem w służbie Cesarza Austrji... Czyż należało z takim hałasem nam to przypominać? Powstało później wojsko Polski niepodległej, ale nie było ono stworzone przez Piłsudskiego, lecz przy współudziale Państw Zachodnich i Stanów Zjednoczonych Ameryki. Mimo najszczerszej naszej chęci, by okazywać uprzejmość Polsce, liczyć się z jej drażliwościami, rozumieć tragizm sumienia po wybuchu wojny r. 1914, każdemu Polakowi się nasuwający, nie możemy ukryć bolesnego podrażnienia, jakie w nas wywołuje otwarcie ujawniane przez dzisiejszych kierowników polskich pragnienie przypominania nam, że jeśli nas nie sprowadzono do zagłady w r. 1914, to nie z ich przyczynienia się, bo oni, przeciwnie, wszystko uczynili, co było w ich mocy, by dopomóc wojskom Mocarstw, które przeciw nam walczyły".

Otóż to, co pisał „*Candide*", w różnych warjantach co czas jakich czytało się w wierszach lub między wiersza

mi i wielu, wielu innych pism paryskich („*La France Militaire*" trzykrotnie!). O tem, oczywiście, nie każdy polityczny Francuz z Polakami potocznie rozmawiał, ale każdy Francuz to pamiętał i o tem myślał i to od maja r. 1926 coraz częściej, gdyż mu to coraz częściej i natrętniej i przekorniej z Polski przypominano. Wszystkie uroczystości w Polsce, wszystkie ochody, owacje, kulty, widowiska, mowy, wogóle całe życie oficjalne nastawione było *ad maiorem gloriam* tego wszystkiego, co Francji i Francuzom przypominało stale lata 1914 — 1918.

Owoce tego „pierworodnego grzechu" teraz zaczynamy zbierać. To była ta zadra małżeńska, która od dnia ślubu i kontraktu ślubnego stale rosła i rosła, aż wreszcie i zaczął się z pewnych stron rozlegać okrzyk „*Divorçons*"....

Otóż przeciw temu, choćby podświadomemu, ale nie mniej organicznemu poglądowi każdego normalnego Francuza na tą sprawę walczyć musiała tak zwana propaganda, organizowana pośpiesznie od 13 listopada r. 1918. Z jakim skutkiem, to widzimy teraz, a zobaczymy jeszcze dokładniej w niedalekiej przyszłości. Od propagandy tej odsunięci zostali „z miejsca" ci wszyscy, co z Francją i Ententą szli w latach wojny europejskiej. Na to miejsce zaś przyszli... żydzi i to nie żydzi sporadyczni, a jaczejki, bataljony, gromady żydów jawnych, utajonych i całkiem tajnych, t. j. starannie ukrywanych.

Na ten temat powinna być napisana osobna broszura.

My tu nie będziemy zajmowali się przeszłością, a skontrolujemy groźny rzeczostan aktualny.

Salonowo i teatralnie, dekoratywnie reprezentuje państwo w Paryżu, jak wiadomo, hr. Chłapowski, resztką sił i cierpliwości swojej i tych, co go wysłali. W jego zastępstwie rządzą ambasadą p.p. Mühlstein, doradca prawny Wittenberg, konsul Poznański i kilku starozakonników przygodnych i zmieniających się, przy asyście oczywiście kilku brydżystów i danserów aryjskich; do specjalnych poruczeń był dawniej groteskowy Hieronym Kohn, kabaretowy radca Neuman, ambitny i obrotny dr. E. Krakowski, „ustosunkowany" w Izbie deputowanych, oraz rozmaite „Kohny" dochodzące, jak np. p. Londyński (*sic*), dr. Hufnagel, p. Klingsland, no i oczywiście kilka „róż Saronu" i genjalnych Rachel; do tego na przyczepkę ten stypendysta dyktatury, „poeta" Lechoń, zwany z francuska „*lecquonem*"...; oczywiście jest i kilku urzędników „*arja*", serjo i wzorowo się zapracowujących. Na samej górze atoli sterczy p. Anatol Mühlstein, blaski Rotszyldów rozsiewający, „na swoich barkach aljans Polski z Francją potrzymujący", „postać centralna", czynnik decydujący (*sic, autos efa*).

No i teraz co pomogła, czego dokonała tak liczna ekipa starozakonnych w polityce, w prasie, w finansowości, w literaturze, w sztuce? Nic. Oddano im monopol na potrzymywanie aljansu. Jak się z tego wywiązali? Do czego doprowadzili? Gdzież mistyczna potęga p. Mühlsteina? Przecież wszystkie aktywne antagonisty przymierza polsko-francuskiego, to albo żydzi, albo Francuzi z pół-żydowskich środowisk? Nie mówimy już o wielkim Jozuem, o tym kokiecie Blumie, ani o Rosenfeldzie, ani o zajadłym Baschu z Węgier, ani o litwakach z „*Humanité*" Gdzież są te wpływy polityczne p.p. Mühlsteinów i Wittenbergów? Czemu nie obłaskawili zaharkanego Lecache'a-Frauensteina, zięcia baby Severine? Przeciw nam stale: Torres, Pioch, Bloch, Paul Louis, Carco, H. Max, Cremieux, kilkudziesięciu Levych i Halevych, adwokatów i dziennikarzy. Czemu do nich nie dotarli „nasi". Pan Keyser jest siostrzeńcem Dreyfussa, p. Jouvenel jest innego Dreyfussa szwagrem. Barbrusse ciągle z żydami i stale przeciw Polsce. Proust z „*L'Oeuvre*" przeciw nam, Roger Nathan („*Europe Nouvelle*") przeciw nam. Charles Rapaport był stale. Za Młodoturkami też stoją żydowie; senator de Monrie ożeniony z żydówką, p. Pfeiffer stale otoczony żydami. Dlaczego ekipie Semitonów z Ambasady nie udało się zyskać dla propagandy polskiej ani jednego literackiego nazwiska? Savoir-Poznański (kuzyn konsula) udaje stale „Moskala". Jules Benda pochodzi z żydów polskich. Czemu jego nie skonwinkowano. Można było zaryzykować z Bergsohnem; jest prawnukiem Szmula Zbytkowera, założyciela Szmulowizny na Pradze, syn Berek fundował synagogę na Pradze; Berek zrodził Gabryela, Gabryela Michała, Michał był wnuczkiem już francuskim i jest ojcem Henryka Bergsona. Nie mógł to raz Bergson wystąpić, zaagitowany przez Krakowskiego i Londyńskiego? dwóch Piłsudczyków *di primo cartello*?

Interpelowani o te wszystkie zaległości i opieszałości, bronią się nasi semiccy dyplomaci tem, że Polska to jest słabiutki kundman dla eksportu francuskiego, zawsze jednakowoż z naciskiem dodając, jak to jednak sytuację dla... w Europie w maju r. 1926 „uratował" (*sic*) Sauerveinas. Możliwe. Ale ile taki Sauerveinas wtedy kosztował, to wiemy, jak również, jakie dochody ma taki Augur-Poliaków... Nie sztuka mieć za 12.000 franków popleczników; u takiego obstalować łokieć druku potrafi każdy *gojim*. Tu chodziło o gratisowych entuzjastów i o Platoników przyjaźnie nam oddanych, z przekonania i z zasad. Otóż do takich semicka ekipa ambasady ani szczęścia nie miała, ani nigdy dotrzeć nie umiała. Nie udała jej się żadna konkieta, ani księżnej Bibesco, autorki „*Catherine*" (*On n'epouse pas un Polonais*), ani popularnego Benoit, który wolał jechać do Prus Wschodnich i stamtąd dać powieść o sympatycznych junkrach pruskich... Jak ongiś faworyt hrabiów Chłapowskich, Hieronymkohn nie umiał dotrzeć do... Bascha, tak też i dziś p. Mühlstein nie umie oczarować Lecache'a, a inteligencja, wykształcenie i francuszczyzna wice-żyda, anegdociarza Lechonia nie wystarczają, aby ugłaskać któregoś z „młodotureckich" Cotów. Nawet na „*Ere Nouvelle*" (własność familji Westphal) nie mają już dawnych wpływów p. Krakowski czy Londyński. Żadna komedja polska ani jednego z 56 teatrów paryskich sobie nie zdobyła, mimo tylu zapowiedzi i obietnic i kaczek puszczanych, z tłumaczonych, a nie kupowanych tomów Sieroszewskiego można by zbudować mały dworek i jeszcze palić w piecu przez zimę różnemi reklamowanemi tomami, na które szły takie! takie! sumy z t.zw. dyspozycyjnych funduszów. Znacznie większą popularnością cieszą się Rumuni, Węgrzy, omal Macedonja.

Jak w propagandzie literatury polskiej, tak i w sprawie Pomorza polskiego spisać się nie spisali „Nasi w Paryżu". Nic też nie przeciwdziałali psychozie hasła: *la paix à tout prix*. Nawet w swojej specyficznej specjalności nie zdołali, pisząc za dużą gotówkę, osłabić w umysłach francuskich sensowności kalemburu o *cauche mare-chal*... Dodać tu jeszcze trzeba, że w akcji zbliżenia francusko-niemieckiego, szczególnie w sferach przemysłowo-kopalnianych, hutniczo-katolickich dużą robotę zakulisową spełniał inny, taki ot sobie, także „żydek nieznany", tym razem pochodzący, *darkert Lodomerry* (z Wschodniej Galileji), niejaki Kolischer. Możnaby mówić nawet o meczu Mühlstein — Kolischer, w którym ten drugi właściwie „zwyciężył" „szarą eminencję" Brühlowskiego pałacu. Konkludując, raz jeszcze: na tych maklerach dyplomacji nowoczesnej (judemokratycznej) fatalnie wyszła w ogólnym rozrachunku i literatura polska i polityka. Paryskich żydów nie zyskaliśmy, a Francuzów kolejno traciliśmy w tych dwunastu latach, jednego po drugim.

SKONFISKOWANO

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Małe żydki", poumieszczane na posadach korespondentów zagranicznych Polskiej Agencji Telegraficznej, przez trzy miesiące ostatnie depeszowały po dwa razy dziennie o gwałtownym spadku wpływów hitleryzmu, o ustawicznych rozłamach w partji Hitlera itd.

Wkońcu, dn. 30 z. m., doniosły, iż Adolf Hitler mianowany został kanclerzem Rzeszy...

*

„Incydent" między ministrem przemysłu i handlu p. gen. Zarzyckim, a wice-prezesem klubu BB. ks. Januszem Radziwiłłem został szczęśliwie „zlikwidowany". Uznano, że mówiąc o „historycznych nazwiskach", p. generał nie miał wcale na myśli księcia, zaś wyrażenie „szmata" nie ma w sobie właściwie nic ubliżającego. Podobno, dla ostatecznego uspokojenia wzburzonych konserwatystów, zapewniono ich półoficjalnie, ale poufnie, że w przyszłości w oświadczeniach urzędowych, zamiast wyrazu „szmata", używany będzie łagodniejszy, milej dla ucha brzmiący — „szmatka"...

*

Ks. Janusz Radziwiłł, jak obwieszcza komunikat BB, pogodził się z ministrem gen. Zarzyckim w sprawie wyrazu „szmata", użytego w komisji sejmowej. Ks. Radziwiłł był coprawda w jakichś radach nadzorczych hut niemieckich na Śląsku, ale nie brał pieniędzy, na posiedzeniach Rady nie bywał, nie wie nawet, gdzie Śląsk leży. Pewno nawet nie słyszał o ks. Pszczyńskim...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA